Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 47 1 czerwca, 1943 Cena (Price) 1/-

MARIAN EMIL ROJEK

KOMUNIZM A EMIGRACJA POLSKA

w chwili obecnej

JEST rzeczą powszechnie wiadomą, że społeczeństwo polskie było w ogromnej swojej większości "*immunizowane*" od wpływów komunizmu. Socjalistyczny tygodnik londyński "*Tribune*" twierdził nie dawno, że było tak na skutek tradycji wojen polsko-rosyjskich. Naszym jednak zdaniem prawdziwą przyczyną odporności polskiego społeczeństwa na hasła bolszewickie była znajomość praktyczna tego, co oznacza rewolucja komunistyczna. Nie był to oczywiście czynnik jedyny, ale chyba najważniejszy. Najlepszym dowodem, że nie można tego zjawiska łączyć z jakąś *rusofobią* jest postawa społeczeństwa i państwa polskiego wobec sugestyj niemieckich, i innych, krucjaty przeciwsowieckiej. Nie chcieliśmy nawracać bolszewików na inne polityczne i społeczne wyznania, ale też sami nie chcieliśmy stanowczo komunistycznego porządku u siebie.

Mniej odporna na hasła komunistyczne okazała się część polskiej emigracji przedwojennej, przede wszystkim tej, która znalazła pracę i chleb we Francji. Nie mamy zresztą zamiaru omawiać tu problemu naszej emigracji zarobkowej we Francji. Wskażemy tylko ogólnie, że ludzie ci wyjeżdżali z Polski często z wyrzutem w duszy przeciw rodzinnemu krajowi, który nie mógł dostarczyć im zatrudnienia na miejscu, a często i nie potrafił rozwiązać dobrze zagadnienia opieki konsularnej, zapewnić jej rzeczowości, sprawności i bezstronności. Warunki polityczne i społeczne Francji przedwojennej przyczyniały się również wybitnie do tego, iż międzynarodowy komunizm znalazł pewien odsetek kandydatów na wojnę domową w Hiszpanii również wśród emigracji polskiej. Nie są nam chwilowo znane obecne nastroje i prądy wśród starej emigracji polskiej we Francji, i bylibyśmy radzi, gdybyśmy mieli przekonanie, że troszczy się i o tą sprawę nasz Rząd i jego właściwe organa.

Obecnie jesteśmy świadkami ogromnej ofenzywy komunizmu przeciw duchowi polskiemu wśród całej przedwojennej i wojennej emigracji polskiej na całej kuli ziemskiej. W szczególności pod obstrzałem znalazły się skupienia Polonii Amerykańskiej, a pierwsze oznaki planowego działania można już zauważyć i w Wielkiej Brytanii i nawet na Bliskim Wschodzie. Ta sama akcja prowadzona jest zresztą i w Polsce samej, co wskazuje tylko na jedno źródło inicjatywy i na jeden ośrodek dyspozycyjny. Polska współczesna jednak jest równie dobrze immunizowana przeciw komunizmowi, jak i Polska przedwojenna. Równie dobrze — to znaczy właściwie o wiele silniej, niż przed wojną, bo dzisiaj Kraj znajduje się w sytuacji, w której rozpacz podyktować może kroki nieoczekiwane. *Tonący i brzytwy się chwyta*-mówi przysłowie. Jeżeli Kraj walczący z Niemcami nie chwyta jednak za brzytwę komunistyczną, świadczy to, że i znajomość rzeczywistości komunistycznej jest jeszcze większa niż przed wojną i że w narodzie na swojej ziemi jest ta siła wewnętrzna, którą nazywamy duchem narodowym, a której zmierzyć i zdefiniować często nie można.

Nie ulega wątpliwości, że i Polonia emigracyjna — ta wspaniała gałąź naszego narodu — nie pozwoli opętać się mackom organizacji komunistycznej, która zresztą nie dla teorii materializmu dziejowego poświęca tyle wysiłków i środków różnego rodzaju. Chodzi tu o dostanie się do społeczności polskiej od wewnątrz, o rozbicie tej społeczności i takie jej spreparowanie, żeby następnie stała się ona uległa wobec planów skomunizowania Polski. Polska zaś skomunizowana nie jest właściwie Polską, nie miałaby niepodległości politycznej, ani nawet — jeśli weźmiemy pod uwagę chwilę obecną — woli do walki z Niemcami. Dla Polski bowiem *polskiej* zaborcą będzie każde państwo niemieckie, które wdzierać się będzie do naszej ojczyzny, dla Polski zaś sowieckiej np. Niemcy komunistyczne takim wrogiem nie będą. I tak agitatorzy komunistyczni w Polsce powiadają, że w wypadku skomunizowania Niemiec zachodnia i centralna Polska powinna być włączona do Niemieckiej Republiki Sowieckiej.

Skoro więc istnieje niebezpieczeństwo, trzeba mu spojrzeć w oczy i nie zdawać się ani na Opatrzność Boską, ani na geniusz owych przywódców, którzy zapewniali, że Opatrzność jest z nimi. Nie trzeba też zdawać się na przestarzałe już z każdego punktu widzenia, dawne, polskie, ślamazarne: "*jakoś to będzie*".

CENTRALA

Widomym ośrodkiem kierowniczym akcji mającej na celu skomunizowanie wychodźctwa polskiego — bo do tego zagadnienia ograniczamy tu nasze rozważania, incydentalnie tylko dotykając spraw krajowych — jest t.zw. *Kongres Wszechsłowiański* w Moskwie, który pierwszy swój zjazd odbył w dniach 11 i 12 sierpnia 1941, kiedy cały horyzont wojenno-polityczny świata przesłonięty był nawałą niemiecką uderzającą na Sowiety, horyzont polski zaś zachwycał oczy naiwnych pespektywami świeżo-zawartego paktu sowiecko-polskiego. Z osób biorących udział w tym wiecu szeroko propagowanym przez radiostacje sowieckie, zasługuje na wzmiankę przede wszystkim p. Aleksander Kornijczuk, a to ze względu na stanowisko, które dziś zajmuje w sowieckim aparacie polityki zagranicznej. Wziął on też udział w drugim kongresie moskiewskim, w dniu 4 kwietnia 1942, o ile zaś wiadomo nam, nie wziął już udziału w trzecim — w dniu 9 maja 1943 — może z tego powodu, że nie dawno został sowieckim wiceministrem spraw zagranicznych. Na czele tej imprezy, mającej służyć *specjalnym* sowieckim celom wojennym, stoi generał Aleksander Gondurow, którego osoba symbolizuje ścisły związek prac kongresu z działaniami Armii Czerwonej. Z osób pochodzenia polskiego w stałej współpracy z kongresem znajduje się Wanda Wasilewska, znana komunistka, i ostatnio ujawniony b. pułkownik W.P. Zygmunt Berling, zresztą bynajmniej nie Słowianin.

Nie mamy zamiaru zajmować się tu specjalnie politycznym znaczeniem tych kongresów moskiewskich Słowian. Traktujemy tu o nich tylko dlatego, że uważamy je za ośrodek centralny planów i działań, którym poddano ze strony zorganizowanego komunizmu wychodźctwo polskie. Zaznaczymy jednak, że hasło solidarności słowiańskiej bynajmniej nie odpowiada zasadom komunizmu i zostało raczej zapożyczone od rasistów niemieckich. Odpowiada ono za to jednej jedynej i najważniejszej zasadzie taktycznej zorganizowanego komunizmu, a mianowicie, że w dążeniu do celu nie można się krępować żadnymi w ogóle zasadami. Doskonale również ilustruje tę zasadę pierwiastkową taktyki komunistycznej udział w ostatnim kongresie dostojnika cerkwi prawosławnej rosyjskiej służącej porządkowi sowieckiemu, Mikołaja, który nosi nie tylko tytuł egzarchy Ukrainy, ale i metropolity Kijowa i *Halicza*.

To zakończenie tytułu zyskał biskup sowiecki w 1939 r. kiedy wojska sowieckie okupowały wschodnie ziemie Polski wraz z miasteczkiem Haliczem, które ongiś przed wiekami było przez czas krótki siedzibą biskupstwa obrządku greckiego. To wyszukiwanie tytułów z przeszłości, i to opartych na starożytnościach chrześcijańskich w tej części Europy, dla władztwa sowieckiego ma również swoją niepospolitą wymowę taktyczną, w rzeczy samej zaś nic nie zmienia.

Nasuwa się też druga uwaga ogólna o tych moskiewskich kongresach. Świadczą one o specjalnym pojmowaniu spraw i zagadnień międzynarodowych przez Związek Sowiecki, który stoi za tą imprezą kongresową. Ostatecznie, w życiu międzynarodowym obowiązują pewne ustalone i od wieków znane zasady. Jedną z nich jest, że państwa i narody komunikują się ze sobą na wzajem przez swoje rządy, ambasady i t.d. Związek Sowiecki jest w tej wojnie po tej samej stronie frontu militarnego, co rządy polski, jugosłowiański i czechosłowacki. Pomimo to kongresy moskiewskie usiłują wprowadzić w życie zasadę, że ludność i społeczeństwa wymienionych państw słowiańskich mają poddać się bezpośrednio kierownictwu — Moskwy już teraz, w czasie działań wojennych. Ciekawi jesteśmy, czy kierownicze koła oficjalne polskie zwróciły uwagę całego naszego koncertu Narodów Zjednoczonych na tę anomalię, noszącą w sobie zarodki przyszłości, której lepiej dziś nie przewidywać.

Ma to szczególne znaczenie dla umęczonego naszego Kraju, którego jedności rozdzierać nie wolno, bo przez to osłabia się Polskę w walce z Niemcami, a także narusza się podstawowe prawa Rzeczpospolitej, która właśnie po to do wojny weszła, aby bronić swojej niepodległości, suwerenności i integralności i na rzecz niczyją z dóbr tych nie rezygnować. To jest właśnie sens tej wojny dla nas i jej istota.

Trzecia wreszcie i ostatnia uwaga ogólna, której pominąć nie można w stosunku do kongresów moskiewskich, to głoszenie z Moskwy zasady rozproszkowania słowiańskiego m.i. na różne nie istniejące narodki — po to chyba, żeby tym łatwiej "*slawianskije ruczji*" wpadły do jednego wiadomego morza, wedle znanego wiersza Puszkina. W odezwach kongresowych moskiewskich stale występują obok Serbów Czarnogórcy, obok Bułgarów Macedończycy, w innych zaś jeszcze tacy Słowianie jak np. Bukowińcy i Mołdawianie. Dotychczas tylko Niemcy umieli rozszczepiać narody słowiańskie od wewnątrz i niedopuszczać do wykrystalizowania się większych narodowych jednostek słowiańskich.

SŁOWIANIE W AMERYCE

Najmłodszą emigracją na obu kontynentach amerykańskich jest emigracja z krajów słowiańskich. Najwięcej tam z pośród Słowian jest Polaków, najmniej Rosjan, którzy nie potrzebowali szukać terenów do osiedlania się za morzami. Duże grupy stanowią z bliższych nam Słowian Czesi, Słowacy i nasi Rusini z Ziemi Czerwieńskiej, reprezentowane są też w znacznych liczbach wszystkie narody Słowian bałkańskich. Emigracja rosyjska z przed Pierwszej Wojny Światowej ograniczała się do nie wielkich skupień wyznawców sekt prawosławnych, prześladowanych w Rosji. Po rewolucji rosyjskiej napłynęła fala t.zw. Białych Rosjan, którzy jednakże — jako składający się przede wszystkim z oficerów i inteligencji — rozpłynęli się w dużej mierze w środowisku anglosaskim i nie mogli rywalizować ani liczbą ani konserwatyzmem narodowym z Polakami, Czechami, Słowakami czy Rusinami.

Znaczenie tych grup słowiańskich w krajach amerykańskich staje się co raz większe, bo są to grupy społeczne zdrowe moralnie, dorabiające się i wykazujące ambicję właściwą młodym społeczeństwom pionierskim. Okazało się, że mogą one poprzez politykę Stanów Zjednoczonych wpływać na sprawy europejskie, zwłaszcza że to ich macierzyste kraje dotknięte zostały najazdem niemieckim i że pamięć o kraju pochodzenia w tych grupach jest jeszcze bardzo silna.

Dlatego też zapewne komunizm zarzucił sieci na Słowian amerykańskich, licząc, że mgliste kontury rzeczywistości słowiańskiej w Europie pozwolą na tym skuteczniejsze zamaskowanie prawdziwych celów komunizmu.

Znamienny jest już sam wybór daty. Dopóki Związek Sowiecki współpracował politycznie z Niemcami, przeprowadzając do spółki z tymi najgorszymi wrogami niepodległości narodów słowiańskich rozbiór Polski, cicho było wśród komunistów o "jedności słowiańskiej". Pierwszy "kongres słowiański" w Moskwie miał miejsce w dniach — jak wspomnieliśmy — 11 i 12 sierpnia 1941, pierwszy "*kongres słowiański*" w Stanach Zjednoczonych A.P. w dniu 1 kwietnia 1942. Oczywiście, głównym celem akcji komunistycznej w Stanach Zjednoczonych stała się liczna tamtejsza *Polonia amerykańska*, która z jednej strony wrasta organicznie w młody naród amerykański nie dając się nikomu wyprzedzić w lojalności dla Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś pamięta, iż wyszła z łona wielkiego narodu polskiego, który dzisiaj w takiej znajduje się opresji. Ta właśnie grupa stała się przedmiotem zabiegów "słowiańskich" komunizmu światowego. Wiadomo, jakie miejsce zajmuje Polska obecnie w planach komunistycznych. Ponieważ zaś komunizm nie może dostać się do narodu polskiego na miejscu, w Europie, postanowił zrobić wyłom od strony Ameryki i najpierw wjechać do świata pojęć Polonii na koniu trojańskim solidarności rasowej, by stąd potem zrobić szturm na pozycje narodu polskiego w czasie wojny i po wojnie.

Ogromna większość Polonii amerykańskiej, pomimo usypiania jej czujności nawet ze strony oficjalnej polskiej co do celów komunizmu, odniosła się do koncepcji kongresu słowiańskiego w Ameryce niechętnie i krytycznie. Niestety, część polskich grup robotniczych poszła na lep "słowiańszczyzny" i na czele "*Kongresu Słowian Amerykańskich*" jako całości stanął nawet Polak, działacz zawodowych związków robotniczych Leon Krzycki. Faktem więc jest że "kongres słowiański" w Stanach Zjednoczonych funkcjonuje, wysyła depesze do Prezydenta i innych wybitnych Amerykanów i w działalności swojej ulega całkowicie dyrektywom komunistycznym. Ponieważ jednak nie mamy tu w Londynie dokładnych wiadomości z ostatnich miesięcy i tygodni, nie zdajemy sobie dotąd sprawy, jakie wrażenie na obałamuconych działaczach polskich wywarło ostatnie odsłonięcie kart wobec Polski przez zorganizowany komunizm.

Dużo zaś wrażenie na Polonii amerykańskiej zrobiły niektóre niezręczne wystąpienia słowiańsko-komunistyczne, jak np. zarysowanie programu kongresu w jednym z jego organów "*The American Slav*" (tuż po zjeździe w dniu 1 kwietnia 1942):

> "Of course, it's mostly some of the old-country folks that like to throw monkey wrenches into Slavonic solidarity. Most of these folks think of the Slav question from an individual imperialistic angle. Well, let me warn them (and simultaneously assure good, sober people) that Russia won't tolerate any imperialistic plans of the exiled Slav politicos who call themselves statesmen! *An Allied victory means a Russian domination of Europe in general*".

Zaś w zakończeniu tych uwag pisze wspomniany organ:

> "Just now we have the consolation that in the event of an Allied victory "batushka" Stalin will make short shrift of the peanut politicos or statesmen in the exiled governments. *Russia will not tolerate national imperialism of any Slav groups within Greater Russia*".

Ciekawe, że nowy okres wpływania na Słowian amerykańskich ze strony "wszechsłowiańskego kongresu" w Moskwie zbiegł się ze znanymi wydarzeniami politycznymi na tle stosunków sowiecko-polskich. Właśnie w lutym 1943 "wszechsłowiański kongres" w Moskwie ogłosił odezwę do Amerykanów słowiańskiego pochodzenia, w której wysuwa znane tezy o konieczności zgrupowania się wszystkich Słowian dookoła Związku Sowieckiego. Naturalnie, w Kongresie Słowian Amerykańskich istnieje *Sekcja Polska*, i kierownicy całej akcji poświęcają jej bardzo wiele troski i starań.

Jeśli idzie o Amerykę Południową, to na razie akcją "kongresów słowiańskich" objęte były Argentyna i Urugwaj.

Władze argentyńskie nie udzieliły zezwolenia na właściwy kongres w Buenos Aires w dniach 14, 15 i 16 sierpnia 1942, lecz na jedno tylko zebranie. Komunistyczny jednak organ w języku polskim, który dziwnym nym trafem zaczął ukazywać się w Buenos Aires akurat w 1942 r. p.t. "*Nowa Polska*", spełnia rolę zastępczą. Oczywiście i tu, jak w Ameryce Północnej, *Polonia* w ogromnej swojej większości nie wzięła udziału w przygotowaniach komunistycznych i poseł polski w Argentynie p. M. Arciszewski odmówił wręcz wzięcia udziału w "kongresie".

W sąsiednim Urugwaju, w Montevideo, natomiast odbyła się w dniach 16, 17 i 18 października "*konferencja słowiańska*" pod oficjalnym patronatem rządu urugwajskiego i przy obecności przedstawicieli dyplomatycznych W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że zagadnienie komunistyczne nie jest znane w Urugwaju, którego rząd nie utrzymywał dotąd stosunków dyplomatycznych z jedynym państwem komunistycznym świata — Związkiem Sowieckim. Konferencja w Montevideo postanowiła zwołać do tego miasta "*kongres słowiański Ameryki Południowej*" na luty 1943. Czy ten "kongres" odbył się, nie mamy dotąd wiadomości.

W sumie można na marginesie tych "kongresów" i konferencyj zrobić uwagę, iż niektóre rządy państw sprzyjających Koalicji zachodniej rade by zachęcić swoją ludność świeżego pochodzenia europejskiego do postawy antyniemieckiej i ulegają tu sugestiom propagandy panslawizmu komunistycznego, nie zdając sobie całkowicie sprawy, że ani Polacy, ani Czesi czy Serbowie nie potrzebują bodźca aż z Moskwy do walki z Niemcami.

"FRONT ORGANIZATIONS"

Wedle prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych Francisa Biddle'a poszczególne partie komunistyczne tworzą w krajach swego działania t.zw. "*Front organizations*" t.j. instytucje pozornie charakteru niepolitycznego, lecz społecznego lub kulturalnego, właściwie zaś służące celom politycznym

partii. Organizacje te w szczególności służą partiom komunistycznym do przenikania do innych związków o szerszym podłożu. Typowym przykładem takiej instytucji pomocniczej są właśnie amerykańskie "*kongresy słowiańskie*". Oby ci nasi rodacy, których skierowała tam chęć przysłużenia się sprawie polskiej, zorientowali się jak najrychlej. Oczywiście nie brak też innych "*front organization*", zarzucających sieci na środowisko polskie, i do takich należy przede wszystkim Polsko-Amerykańska Sekcja *Międzynarodowego Związku Robotniczego* (M.Z.R.) z prezesem Bolesławem Gebertem na czele.

TEZY

O tezach antypolskiej propagandy komunistycznej nie ma co wiele mówić, znamy je wszyscy b. dobrze. Zwrócimy tu uwagę na niektóre tylko z nich, zwłaszcza podchwycone od niektórych stronnictw politycznych polskich. Jest to traktowanie Polski jako kraju faszystowskiego, który przed wojną współpracował z Niemcami i gnębił u siebie warstwy pracujące oraz mniejszości narodowe. Poza tym Polska była krajem " imperialistycznym i zaborczym." Od takich tez już bardzo blisko do następnych, czysto komunistycznych. A więc, że Polska nie ma granic wschodnich, a kto twierdzi inaczej jest również "faszystą". I w ogóle każdy Polak, który nie zgodzi się z komunistami — jest faszystą. Stąd zaś już tylko jeden krok do wmawiania w emigrację polską, że rząd polski w Londynie nie reprezentuje Polski, że legalne organy polskie nie mają prawa zmieniać tego rządu zgodnie z życzeniami czynników polskich, ale że przeciwnie — powinny rząd ten przemienić na rząd "jedności słowiańskiej", a więc prokomunistyczny. "*Jeśli dojdzie do powstania rządu polskiego pod przewodnictwem Sosnkowskiego* — pisał słowiańsko-komunistyczny "*Głos Ludowy*" z Detroit z dn. 6 marca 1943 — *o czem donosiły wiadomości z Londynu, będzie on najwyżej reprezentować uciekinierów sanacyjnych. Nie będzie on żadnym rządem polskim*".

PRZYCZYNKI OFICJALNE

Nie bez winy za danie materiału propagandzie komunistycznej wśród emigracji polskiej są czynniki rządowe polskie. Polityka polska przemilczania pretensji i wystąpień sowieckich w połączeniu z lojalnością wobec prawowitego rządu polskiego kazała Polonii amerykańskiej wierzyć, że między Polską a Rosją i światem komunistycznym zapanowała jakaś arkadyjska idylla, przerywana tylko mowami wielkich mężów obu narodów. Wszystkie powiedzenia generała Sikorskiego o zapewnieniach Stalina, o przyjaźni Sowietów dla Polski, o zwolnieniu jeńców i internowanych, i t.d. przyjmowano w Ameryce z entuzjazmem i gorącą wiarą. Wznosił się wśród Polonii amerykańskiej autorytet gen. Sikorskiego i zarazem wiara w życzliwość sowiecką. Jedna tylko grupa polska w Ameryce wystąpiła silniej przeciw polityce i twierdzeniom gen. Sikorskiego, ale nie znajdowała zbytniego posłuchu i dlatego, że zbyt ściśle wywodziła się z kół przedwojennego reżimu polskiego i dlatego także, że uwierzyć jej to znaczyło wyzbyć się złudzeń i iluzyj.

Co więcej, gen. Sikorski nie ograniczył się w czasie swego ostatniego pobytu w Stanach Zjednoczonych do pozytywnego głoszenia swojej polityki. I tak na wiecu *Masonic Temple* w Detroit w dniu 20 grudnia 1942 gen. Sikorski powiedział:

"*Kto krytykuje moje porozumienie z Rosją, jest ajentem goebbelsowskim*".

Nie ulega wątpliwości, że takie powiedzenie dostarczyło tylko materiału komunistom do zwalczania wszystkich Polaków świadomych niebezpieczeństwa i z tej strony, oraz do torowania drogi poglądom komunistycznym na sprawę Polski.

Wiec ów był zresztą typowym dla nowych metod komunistycznych, ponieważ był organizowany przez ogólny Komitet Obywatelski, a komuniści potrafili przeprowadzić, że głównym mówcą obok gen. Sikorskiego był komunistyczny działacz Bolesław Gebert, główny publicysta komunistycznego "*Głosu Ludowego*" w Detroit i prezes Polskiej Sekcji M.Z.R. Nie występował on tam bowiem jako komunista, ale jako patriota polski, popierający gen. Sikorskiego przeciw ciemnej polskiej reakcji. Nie wiem więc co sobie dziś gen. Sikorski myśli o tej najnowszej koincydencji, że właśnie ten sam Bolesław Gebert przemawiał przed paru dniami na wiecu w Nowym Yorku, na którym uchwalono "w imieniu Polonii amerykańskiej" ofiarować sztandar t.zw. "polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki", tworzonej przy Czerwonej Armii pod dowództwem Berlinga !

Można sobie wyobrazić, jak wielkie szkody wyrządziła podobna taktyka naszym interesom narodowym wśród Polonii amerykańskiej. Całe poważne środowiska polskie i inne w Stanach Zjednoczonych zostały na czas pewien nie tylko zdezorientowane, ale dla interesów polskich unieruchomione i sparaliżowane. Niektóre poważne organy prasowe polskie przez długie miesiące szerzyły błędne tezy w sprawie interesów Polski — w tym przekonaniu, że służą polityce polskiej ! Zmarnowano wiele drogocennego czasu, zniechęcono wiele ludzi, zaprzepaszczono wiele sposobności.

O.N.A.

Nie od rzeczy będzie zwrócić przy tej sposobności uwagę na mętny nieraz wpływ, jaki na opinię Polonii w Ameryce wywierać muszą komunikaty i wiadomości przesyłane do prasy polskiej za Oceanem z Londynu przez nieznaną mi bliżej ajencję tytułującą się O.N.A.—*Overseas News Agency*.

Ajencja owa jest tak doskonale poinformowana o sprawach polskich, przede wszystkim w Londynie, iż musi być pod tym względem obsługiwana przez osoby należące do świata urzędowego polskiego. Podaje ona nieraz wiadomości bardzo szczegółowe o posiedzeniach Rady Narodowej, o ruchach polskich dyplomatów i t.p. I równocześnie zdarza się jej dość często podawać w swoim serwisie dla prasy polskiej w U.S.A. wiadomości i oceny o sprawach polskich, pochodzące ze źródeł sowieckich. A więc np. że w Polsce walczą z Niemcami przede wszystkim "*partyzanci*", i to pod dowództwem b. polskich uczestników wojny domowej w Hiszpanii. Następnie, że w stepach Baszkirii utworzono schroniska dla bezdomnych dzieci polskich, które partyzanci "*przeprowadzili na stronę sowiecką, gdyż w przeciwnym razie zginęłyby z głodu*". Ta sama ajencja oswaja również Polonię amerykańską z "*sugestiami niektórych kół brytyjskich w sprawie plebiscytu na obszarze Wschodniej Polski*". Ostatnio Ajencja O.N.A. "puściła" na Amerykę wiadomość że zarysowuje się możliwość konkordatu Między Związkiem Sowieckim a Watykanem, co "*może doprowadzić do załatwienia sporu polsko-sowieckiego i zmniejszyć opozycję katolików amerykańskich w stosunku do Rosji*". Oczywiście, przeciętny czytelnik amerykański nie zdaje sobie sprawy, że pogłoskę o konkordacie dopiero wtedy można by traktować poważnie, gdyby pochodziła z Watykanu lub z Moskwy. Pogłoska się nie sprawdzi, ale osad zostanie. O co Ajencji O.N.A. chodzi wśród Polonii Amerykańskiej? I poco te pogłoski, podane niewiadomo przez kogo z Londynu do Ameryki, "*Dziennik Polski*" każe sobie przekablowywać z powrotem z Ameryki do Londynu ? !

W WIELKIEJ BRYTANII

Od planowej działalności komunistycznej nie jest wolne również środowisko polskie w W. Brytanii, jakkolwiek i tutaj akcja ta nie znajduje żadnego powodzenia. Z tego jednak nie wynika, że nie należy jej obserwować i analizować. I tutaj próbują komuniści i ich ajenci zacząć od starej, przedwojennej emigracji polskiej, mającej tak piękne tradycje w środowisku londyńskim. Tutaj jednak, przeciwnie niż w Stanach Zjednoczonych, zaczęto od przelicytowywania się w demokracji i postępowości z socjalistami, a nie od spraw międzynarodowych. Cel jednak ostateczny okazał się ten sam. Ostatnio wyszły w Londynie dwa numery nowego pisma p.t. "*Nowa Kronika Polska*" wydawanego pod firmą starego i zasłużonego Towarzystwa Polskiego w Londynie.[1]

Otóż "*Nowa Kronika Polska*", zamieściła ostatnio, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych sowiecko-polskich, m.i. następujące wywody :

"*W świetle dotychczas znanych faktów ustala się pogląd, iż nastąpiło zerwanie współpracy z gen. Sikorskim a nie z Polską, czego ze względów zasadniczych nie należy identyfikować. Rosja bowiem deklaruje gotowość rozmawiania z innym rządem polskim*".

Oraz

"*Zmiana polegająca na przyjęciu do rządu kilku opozycyjnych reakcjonistów byłaby jedynie prowokacją wobec Rosji, no i nietaktem wobec innych sprzymierzonych, którzy podjęli się załagodzenia konfliktu. Wówczas istniejący konflikt z rządem gen. Sikorskiego rozszerzyłby się na całą polską państwowość*".

Innymi słowy, nie wolno by już Polakom obierać sobie samym rządu, lecz czekać na dyktat z zewnątrz. To jest właśnie teza "demokratyczna". Nie ma już żadnej wątpliwości.

---

[1]) Redaktorem jest niejaki p. Puacz, prowieniencji sanacyjnej w Polsce, który obecnie występuje głównie pod zawołaniem demokratycznym. P. Puacz zresztą został wyrokiem sądu honorowego Związku Dziennikarzy R.P. Sekcja w Londynie skreślony z listy aplikantów — członkiem rzeczywistym jeszcze nie był — w 1941 na tle sprawy wytoczonej mu w związku z niestawieniem się do szeregów Wojska Polskiego, pomimo formalnego wezwania. P. Puacz przez czas dłuższy usiłował pozyskiwać opinię emigracyjną dla swej tezy, iż bezpośredni udział w rządach polskich powinna mieć stara emigracja. Z trudnościami konstytucyjnymi czy to polskimi czy amerykańskimi p. Puacz nie liczył się, choć zapewne rozumiał, że Amerykanie pochodzenia polskiego musieliby się chyba pozbyć obywatelstwa amerykańskiego, żeby móc bezpośrednio wpływać na skład rządu polskiego. P. Puacz rozumiał też zapewne, że jeden Amerykanin pochodzenia polskiego w Kongresie znaczy dla sprawy polskiej więcej, niż ich dziesięciu w Polskiej Radzie Narodowej w Londynie. Ciekawa więc to teza p. Puacza — zwłaszcza jeżeli się zważy, jaką to działalność *zaplanowano* w Ameryce wśród tamtejszej Polonii.

(*ciąg dalszy na str.* 692)

NOTY I UWAGI

CHCIWOŚĆ I CHYTROŚĆ NIEMIECKA

Radio niemieckie w swoim dziale wiadomości natury "*pokojowej*" bardzo często wraca do tematu korzyści, jakie z tej wojny mają przypaść ludności niemieckiej. Na pierwsze miejsce wysuwa się w tych dobrodziejstwach zagrabienie ziemi i majątków polskich. Często wylicza się w radio niemieckim szczegółowo, jaki to weteran czy inwalida niemiecka i gdzie dostał nadział zrabowanego dobra polskiego. Odnosi się to szczególnie do "*Warthegau*", najstarszej polskiej ziemi. Równie często podaje się też, jakie ilości produktów nasze Poznańskie wywozi do Niemiec. Ostatnio zaczęto tą statystyką obejmować także "*General-gubernatorstwo*". Rzecz jasna, że każdy kilogram ziarna czy mięsa wywieziony z tych ziem wyraża się w głodowaniu ludności polskiej.

Więc pod tym względem Niemcy wydają się być pewni : że się utrzymają w posiadaniu podbitych ziem polskich.

I dlatego ze szczególną satysfakcją każdy Polak dziś słucha wiadomości o bombardowaniu Niemiec. Tylko bowiem skruszenie realne siły niemieckiej, tylko porażenie masy niemieckiej we wszystkich jej wymiarach stwarza warunki do odzyskania przez naród polski tego wszystkiego, co Niemcy Polsce zabrali.

(*ciąg dalszy ze str.* 691)

A nie ma jej tym bardziej, iż nagle ukazało się jeszcze jedno pisemko po polsku w Londynie, które nazywa się "*Listy do przyjaciół*". Nie drukowane, lecz odbijane na cyklostylu, nawiązuje ono do wydanych dawniej w Londynie dwu numerów pisemka komunistycznego "*Jedność i Czyn*". Nowe pismo ogłasza się organem "Polskiego Ruchu Demokratycznego w Wielkiej Brytanii "*Jedność Czyn*" i wprost już pomawia i obecny rząd polski o "zdradę sprawy polskiej" i o "pomoc Niemcom". Poza tym pisemko zasyła "bratnie pozdrowienia na trzeci kongres słowiański w Moskwie" i szeroko reklamuje Wandę Wasilewską, Berlinga i Wiktora Grosza ze "*Związku Polskich Patriotów*" tamże w Moskwie.

*

Dążenia polityczne narodu polskiego i naszego w nim ruchu narodowego są znane. Nie potrzebujemy się z nich tłumaczyć. Naród polski trwa wiernie w walce z Niemcami i obficie przelewa krew za wspólną sprawę. Równocześnie zaś naród ten spotyka się z tak usilnymi próbami rozbicia jego zwartości od wewnątrz i z zamachami na istotę jego narodowości. Jesteśmy pewni, że wszelkie próby tego rodzaju spotkają się z niepowodzeniem zarówno w Kraju jak i na emigracji. Niemniej próby te stają się już dziś poważnym zagadnieniem *politycznym* zarówno dla narodu polskiego, jak i dla innych sprzymierzonych narodów. Zagadnień się nie unika, zagadnienia się rozwiązuje. Wobec podważania podstaw życia narodu, należy przejrzeć całą konstrukcję aparatu powołanego do obrony. Od góry do dołu. Wyplenić słabość, wydobyć z siebie siłę, uświadomić innych. Polityka polska musi wreszcie przestać dryfować bezwolnie na falach oportunizmu, musi występować z własnymi konstrukcjami twórczymi, które lepiej ułożą porządek europejski, niż programy planowego rozkładania i niszczenia wszelkich wartości pozytywnych naszej cywilizacji.

MARIAN EMIL ROJEK

Stwarza to także warunki ogólno-aliančkiego zwycięstwa militarnego. Premier Churchill doskonale rozumie związek przyczynowy tych zjawisk. Strategia Aliantów przewiduje — mówił premier Churchill w Kongresie waszygntońskim — "*uniemożliwienie Niemcom prowadzenia jakiegokolwiek przemysłu wojennego na dużą skalę i w skoncentrowaniu czy to w samych Niemczech czy we Włoszech czy też w krajach okupowanych. Centra te, gdziekolwiek znajdują się lub są teraz rozwijane, zostaną zniszczone, a ludność pracująca w przemyśle wojennym rozprószona. Jeżeli zaś to, co tę ludność spotyka, nie podoba się jej, niech się sama przed tym rozprószy*".

Oto jest język, jakim należy przemawiać do Niemców, żeby zrozumieli. Ponieważ zaś właśnie teraz Niemcy zaczynają "*organizować sympatię*" dla swojej ludności cywilnej dotkniętej bombardowaniami, występując głównie za pośrednictwem prasy hiszpańskiej, należy im i światu przypomnieć wyraźnie nie tylko jak mordowali ludność cywilną polską bombami we wrześniu 1939, jak bombardowali ludność francuską, belgijską, holenderska, jak niszczyli bezbronny Belgrad i jak zamierzali zburzyć doszczętnie miasta angielskie, w których wymordowali tyle kobiet i dzieci.

Należy światu przypomnieć, jak Niemcy traktują ludność polska dotąd. Wypowiedzi radia niemieckiego o majątkach dla inwalidów niemieckich w Wielkopolsce powinny być komentowane i rozpowszechniane, niemieckie zarządzenia o traktowaniu Polaków, o wywłaszczaniu ich, o skazywaniu na śmierć, powinny być dostarczane redakcjom pism w wolnych krajach świata o ile możliwe w odbitkach fotograficznych z gazet niemieckich. Przemówienia Gauleiterów pruskich w Gdańsku i Poznaniu czy Łodzi i Katowicach powinny być utrwalane na płytach i wykorzystane.

Na wyzywające wprost "*organizowanie sympatii*" dla cywilnej ludności niemieckiej powinno się odpowiedzieć udokumentowaniem tortur ludności cywilnej polskiej i udokumentowanie powinno się przeprowadzać stale nie tylko w krajach sprzymierzonych, ale i w krajach neutralnych. Powinno się rzucić wyzwanie prasie hiszpańskiej i jej rozkazodawcom i zapytać ich, co właściwie myślą o niszczeniu całego wielkiego narodu, którego niepodległość i wielkość okazuje się dla cywilizacji europejskiej tak niezbędna.

PERSPEKTYWY WOJENNE

Konferencja waszyngtońska zapewne doprowadziła do dalszego rozwinięcia planów wojennych obu mocarstw anglosaskich. Komunikat o jej wynikach był tak lakoniczny, iż bardziej już skrócić go nie można było. "*Konferencja Sztabów Połączonych zakończyła się przy całkowitym uzgodnieniu przyszłych operacyj na wszystkich teatrach wojennych*" — oświadczył Prezydent Roosevelt i to był właśnie cały komunikat. Co się kryje za tymi słowami ?

Wiedzą tylko ci, którzy mają dostęp do ośrodków kierowniczych. Pewne jednak linie zarysowały się wyraźnie i to można spróbować w paru słowach określić.

Więc przede wszystkim produkcja wojenna wzrosła tak ogromnie, a organizacja sił zbrojnych naszych sprzymierzonych posunęła się naprzód tak znacznie, iż mogą oni myśleć o równoczesnych poważnych działaniach i w Europie i na Dalekim Wschodzie. Stawało się to zresztą już naglącą koniecznością i ze względu na umacnianie się Japonii i z powodu niepokojenia się opinii amerykańskiej. Oczywiście, zaangażowanie się przeciw Japonii może mieć swój wpływ opaźniający na operacje w Europie.

Faktem jest, że większość sił amerykańskich — jak to oświadczył premier Churchill — znajduje się na Pacyfiku. Faktem także jest, że Wielka Brytania dała Stanom Zjednoczonym najbardziej wiążące zapewnienia, że razem z nimi podzieli ciężar wojny z Japonią. Faktem jednak także jest, że skierowanie znaczniejszych sił anglosaskich na Pacyfik, odbije się z natury rzeczy na sytuacji militarnej w Rosji. Jeżeli jednak Rosja domaga się zrozumienia jej sytuacji przez Sprzymierzonych, powinna rozumieć i ich sytuację . . . . i dać bazy przeciw Japonii. Czy Rosja je da?

Zresztą i przy skierowaniu znaczniejszych sił anglosaskich na Pacyfik obu zachodnim mocarstwom pozostają jeszcze b. znaczne możliwości działania w Europie. Mogą bombardować nadal strategicznie Niemcy i mogą prowadzić operacje przeciw wyspom Osi na Morzu Śródziemnym. W sprzyjających okolicznościach mogą osiągnąć nawet więcej, niżby oczekiwały.

Z punktu widzenia strategii tej wojny zanotować należy zaznaczające się niepowodzenia niemieckie w walce okrętami podwodnymi. Sukcesy Sprzymierzonych tu wynikają i z użycia nowych udoskonalonych środków technicznych — aparatów podsłuchowych, bomb głębinowych, użycia lotnictwa na wielką skalę — i z *masowego* zastosowania tych środków. Powstały nowe rodzaje okrętów do służby przeciw łodziom podwodnym : *korwety i fregaty*, okrętów tych jest bardzo dużo, samolotów także ogromna ilość.

Postęp strategiczny notujemy także w dziedzinie bombardowania. "*Mówią* — wołał w ub. roku Marszalek Harris — *że nie można wygrać wojny samym lotnictwem. A czy kto próbował?* " "*Eksperyment wart jest próby tak długo, dopóki i inne środki nie są wykluczone. Z pewnością nie wyniknie żadna szkoda z przekonania się jak jest naprawdę*" — *oświadczył premier Churchill w Waszyngtonie.*

Z dziedziny doświadczeń użycia lotnictwa na polu bitwy w znaczeniu ściślejszym trzeba zwrócić uwagę na podział organizacyjny lotnictwa Sprzymierzonych w Afryce. Lotnictwo nie działało tam w czasie bitwy o Tunis w ramach podziału dotychczasowego, lecz rozdzielone zostało na dwie grupy : działań strategicznych — przeciw nieprzyjacielskim liniom komunikacyjnym i centrom zaopatrzenia oraz lotnictwo działań taktycznych — walczące nad samym polem bitwy w ścisłym współdziałaniu z wojskami lądowymi.

ROZWIĄZANIE KOMINTERNU

Rozwiązanie Kominternu, opublikowane w "*Prawdzie*" w dniu 22 maja 1943, jest jeszcze jednym dowodem, jak bardzo Rosja Sowiecka wpływa na sytuację polityczną w świecie. Jest to jednak posunięcie tak wieloznaczne i w tak osobliwej chwili dokonane, iż na prawdziwe jego znaczenie trzeba jeszcze poczekać. Najprawdopodobniej zaś ma ono kilka znaczeń — jak to zawsze bywa wtedy, gdy się ma do czynienia w polityce z elementem wschodnim.

Jak bardzo z różnych punktów widzenia można takie wydarzenie oceniać, świadczy opinia dwu ludzi : podsekretarza stanu U.S.A. Cordella Hulla i premiera Stalina.

Cordell Hull powiedział :

"*Eliminacja tej organizacji z życia międzynarodowego i zaprzestanie tego rodzaju działalności, w której ta organizacja w przeszłości była zaangażowana, z pewnością wytworzy większy stopień zaufania wśród Narodów Zjednoczonych i przyczyni się do współpracy całkowitej (wholehearted) potrzebnej do wygrania wojny i pomyślnych przedsięwzięć powojennych*".

Wybitny polityk amerykański doskonale rozumie, że nie wystarczy samo rozwiązanie organizacji, alę że potrzebne jest i "zaprzestanie tego typu działalności" !

Natomiast oświadczenie premiera Stalina, złożone pisemnie przedstawicielowi Reutera, już się tą jasnością nie odznacza. Twierdzi ono że rozwiązanie Kominternu było aktem "właściwym i na czasie" i że — równocześnie — zarzuty przeciw danym partiom komunistycznym działania na rozkaz z zewnątrz — są kalumnią. Czy nie ma w tym wewnętrznej antynomii ?

Nie będziemy tu dokonywali oceny Kominternu, możemy tylko zaznaczyć, że im słabszy był Związek Sowiecki, tym bardziej potrzebował Kominternu, im bardziej zaś rósł w siły, tym pomoc Kominternu okazywała się zbędna. Nie chodzi jednak o to, które z danych elementów funkcji matematycznej rosną, które zaś maleją ; chodzi o to, jak przebiega sama funkcja. "*Times*" sądzi, że teraz wzmocniona zostanie jedność wśród Sprzymierzonych. Może i tak będzie, ale z drugiej strony czasem łatwiej mogło się urządzić mocarstwo ze związkiem rewolucyjnym, niż z drugim mocarstwem. Różne te bowiem organizacje mogły się czasami na wzajem wymijać. Trudniej jest już jednak wyminąć cele państwa, a zwłaszcza wielkiego mocarstwa. Nawet jeżeli się pozornie nie ma wspólnych granic. W 1902 roku Wielka Brytania również sądziła, że nie ma wspólnych granic z Japonią.

*

Najlepszym zaś dowodem, że oprócz słów konieczne są też i czyny jest głos *New York Times*, który komentując wiadomość o rozwiązaniu Kominternu zapytywał, czy praktyczne następstwa tego kroku obejmą również poniechanie przez Moskwę "*Związku Polskich Patriotów*" z małżonką sowieckiego wiceministra Spraw Zagranicznych na czele oraz porzucenie patronatu na jugosłowiańskimi "*partyzantami*".

STOSUNKI POLSKO-CZESKIE

W ostatnim czasie zostały złożone ze strony oficjalnych kół czeskich dwa oświadczenia dotyczące stosunków między rządem Prezydenta Benesza oraz rządem polskim. Pierwsze znalazło się w *exposé* ministra Ripki na posiedzeniu czeskiej Rady Stanu w dniu 18 maja b.r., z którego czytelnicy polscy dowiedzieli się, że zostały zawieszone rozmowy w sprawie "konfederacji polsko-czechosłowackiej", a to w związku z obecnym stanem stosunków polsko-rosyjskich. Drugie oświadczenie złożył na ten temat w Ameryce sam Prezydent Benesz, tłumacząc, że "konfederacja będzie wykonalna jeżeli oba państwa będą miały równie serdeczne stosunki z Rosją".

W obu oświadczeniach ważne jest dla opinii polskiej przede wszystkim, że zostały one w ogóle złożone w *obecnym momencie*. Sprawa zasadnicza zaś konfederacji polsko-czechosłowackiej, czy też jeszcze szerszego związku środkowo-europejskiego jest zagadnieniem przyszłości, o którym decydować będą zainteresowane strony stosownie do swojej dobrej woli. Byłoby rzeczą przedwczesną i bezprzedmiotową wyciąganie wniosków na przyszłość w *meritum* sprawy z oświadczeń polityków oficjalnych czeskich, kiedy pod znakiem zapytania znaleźć się może nie tylko konfederacja polsko-czechosłowacka, ale i związek państwowy Czech i Słowacji.

Stosunki między państwami i rządami opierają się na wzajemności. Polityka polska nie powinna uważać też za wiążące porozumienie z rządem Prezydenta Benesza, skoro porozumienie to stało się dla Czechów martwą literą. Celem Polski powinno być dążenie — przy poparciu potężnych sojuszników — do politycznego i ekonomicznego uporządkowania rejonu środkowo-europejskiego z konfederacją lub bez konfederacji — i z tymi partnerami, którzy pragną pokoju trwałego i sprawiedliwego, opartego na poszanowaniu interesów wszystkich uczestników i uznaniu politycznej ich niezawisłości od czynników zewnętrznych.

Stosunek Polski do jej wschodniego sąsiada ułoży się wyłącznie w zależności od dobrej woli po tamtej stronie, gdyż po stronie polskiej nie brak takiej woli. Chodzi tylko o jedno : uznanie przez Rosję praw i interesów Polski wedle stanu z 1939 r. Jeżeli rząd czechosłowacki przywiązuje tak wielką wagę do porozumienia polsko-sowieckiego, uczyni najlepiej, jeżeli swoje dobre usługi zwróci w tym kierunku, co mu ułatwią bliskie stosunki, jakie posiada z rządem sowieckim.

*

Nie można tu przy tej sposobności nie wspomnieć i takich drobnych gestów ze strony czeskiej, jak podawanie bez komentarza wypowiedzi Wandy Wasilewskiej i p. Berlinga na łamach londyńskiego "*Czechosłowaka*" oraz zamieszczenie w tym samym piśmie artykułu o Koperniku bez najmniejszej wzmianki, że chodzi tu o polskiego uczonego.

PRZEDSTAWICIEL WATYKANU

Opinia polska zarówno na emigracji jak i w Kraju z dużą radością przyjmie fakt, że Stolica Apostolska zamianowała swojego przedstawiciela dyplomatycznego przy Rządzie polskim w Londynie. Zostaje nim Arcybiskup William Godfrey, Delegat Apostolski w Wielkiej Brytanii. Kończy się w ten sposób niepożądany stan rzeczy, w którym jedno z największych państw katolickich po tej stronie frontu nie miało przy swoim rządzie przedstawiciela Watykanu. Ten stan rzeczy był wynikiem zresztą pewnej sytuacji faktycznej, nie prawnej ani politycznej, nie mniej nie przynosił on pożytku żadnej ze stron ani światu katolickiemu w ogóle.

Będzie rzeczą przyszłości odsłonić wszystkie okoliczności uboczne, które przyczyniły się do tego, iż *interregnum* na stanowisku Nuncjusza przy rządzie polskim przeciągnęło się zbytnio. Wchodzi tu w grę zarówno ewakuacja naszego rządu z Francji, jak i zupełnie nowe tło dyplomatyczne z chwilą osiedlenia się rządu R.P. w Londynie. Pod tym względem nie bez znaczenia dodatniego zapewne był fakt, że Stolica Apostolska wysunęła na to stanowisko tak wybitnego przedstawiciela katolickiej Anglii, a zarazem członka hierarchii watykańskiej, jakim jest J. E. William Godfrey.

Polska nie ma zbyt wielu przyjaciół w tym świecie, w którym rasistowskie i marxistowskie totalizmy tyle szczerb porobiły. I dlatego nie było rzeczą ani zasadniczo słuszną, ani też taktyczną i mądrą jakiekolwiek przyciemnianie faktu, że Polska jest narodem katolickim. Przy mądrości i takcie można i uczucia wyznawców innych kościołów uszanować i od swojego nie odstąpić. Nie będzie szanował katolika religijny protestant np., jeżeli się dowie, że ten katolik nie przestrzega swoich zasad katolickich. Można więc przez nieprzemyślane i niestarannie przeprowadzane manifestacje i starych przyjaciół stracić i nowych nie pozyskać. Przede wszystkim jednak przyjaciółmi Polski są katolicy i z tego wpływają konseksencje. Następnie trzeba szukać przyjaciół w innych kołach chrześcijańskich, zwłaszcza tych, które rozumieją, jaki jest stan Chrześcijaństwa we współczesnej Europie i jakie stąd wypływają zadania samej Polski i obowiązki wobec Polski innych prawdziwie chrześcijańskich narodów.

CO ZROBIĆ Z NIEMCAMI?

Grupa konserwatywnych członków Parlamentu pod przewodnictwem Sir John Wardlaw-Milne ogłosiła dn. 16 maja memorandum w sprawie zasad przyszłego postępowania sojuszników z pokonanymi Niemcami.

Memorandum opiera się zasadniczo o założenia Karty Atlantyckiej, która powinna obowiązywać także w stosunku do Niemiec, stawia jednak warunek, aby postanowienia nowego traktatu pokojowego uniemożliwiły im wszelką nową agresję.

W tym celu Niemcy powinny być poddane efektywnej okupacji pod kierunkiem Międzysojuszniczej Rady Kontrolnej, Prusy Wschodnie winny być od Rzeszy odłączone (ale memorandum nie powiada, co się ma z nimi stać), natomiast z Nadrenii i Westfalii, należących obecnie wprost do Prus, utworzyć należy oddzielne państwo niemieckie, związane z Rzeszą, jak to osobno Sir John Wardlaw-Milne wyjaśnił w liście do "*The Times*".

Poza tym, memorandum przewiduje przesiedlenia ludności, przywrócenie suwerenności wszystkich państw okupowanych obecnie przez Oś, zorganizowanie w Niemczech policji lokalnej niemieckiej bez żadnego związku z siłami zbrojnymi, których Niemcy nie powinni posiadać w ogóle, aż do nowej decyzji Aliantów. Autorzy memorandum domagają się też nadzoru Sprzymierzonych nad niemieckim radiem i wydawnictwami drukowanymi, oraz nad programami szkół i uniwersytetów. Niemcy nie mają posiadać również lotnictwa cywilnego oraz przemysłu lotniczego, dopóki decyzja ta nie zostanie przez Aliantów zmieniona. Wszelkie łupy muszą być zwrócone a przedmioty zniszczone mają być z niemieckiej własności restytuowane. Pod stałą kontrolą mają być również niemieckie finanse.

Memorandum nie spotkało się z przychylnym oddźwiękiem w opinii brytyjskiej, gdyż uważane jest za "mocne". Świadczy to źle o tej opinii, o jej nieuświadomieniu. Opinia angielska nie zdaje sobie sprawy, że kontrola Niemiec na dłuższą metę nie uda się, nie z powodu Niemców, ale z powodu Anglików. Demokratyczne państwa zachodnie ani nie mają odpowiedniego aparatu wykonawczego do takiej kontroli, ani też takiego aparatu nie potrafią wytworzyć, gdyż to jest sprzeczne z ich ideologią polityczną. Kontrola aliancka przez czas dłuższy przerzuci tylko odpowiedzialność za bezrobocie w przyszłych Niemczech na Aliantów. Takie państwo jak Niemcy można unieszkodliwić tylko przez jednorazowe nadłamanie i skruszenie podstaw jego potęgi.

STEFAN WINNICKI

O. U. N.[1]

TRUDNO będzie kiedyś historykowi ukraińskiej myśli politycznej ustalić, jakie uczucia ludzkie były u narodzin Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów: pozytywne, miłość do "Neńki"-Ukrainy, czy tylko negatywne — nienawiść do prawdziwego czy rzekomego wroga wolnej i niepodległej Ukrainy. Przyszły sumienny i uczciwy historyk będzie ważył kiedyś troskliwie każdy czyn samozwańczego wodza (prowidnyk) i jego następców i wypowie swój sąd — może ostateczny, trudno dziś powiedzieć pochwalny czy potępieńczy. Oczy współczesnych zaś patrzą na organizację istniejącą, na ludzi, którzy działają, walczą i giną, na przyczyny i skutki danych posunięć i dlatego sąd współczesnych świadków o tych sprawach może być wprawdzie fragmentaryczny tylko, ale za to aktualny.

ZATRUTE ŹRODŁO

Niewątpliwie nienawiść, podobnie jak miłość jest siłą motoryczną, czy zaś i twórczą, jak niektórzy pochopnie twierdzą, to jeszcze pytanie. Tak jest w życiu jednostki — tak też i w życiu narodów. Nie jest więc conajmniej wolna od przejawów tego uczucia i tragiczna historia dążeń ukraińskich, a dobitnym na to dowodem postacie Chmielnickiego, Gonty, Żeleźniaka i innych. Nienawiść pchnęła ambitnego wojownika Chmielnickiego na drogę walk domowych, w wyniku których przyszła jednak tylko "*wielka ruina*" bujnie dotąd rozwijającej się przy Polsce Ukrainy, a pędzony wówczas w jassyr lud ukraiński wypowiedział się o swoim wodzu jakże wymownie w pieśni: "*szczob ho persza kula ne mynula*". Pieśni jednak nie są środkiem zaradczym na dolegliwości polityczne i kiedy Chmielnicki zawrócił wreszcie z wydeptanych scieżek na Krym, prowadzących wprost pod próg Wysokiej Porty, nie wstąpił jednak na drogi przeszłości i znalazł się wobec tego . . . w Perejasławiu. Osobliwą logiką profesorskich koncepcyj politycznych wieku XIX właśnie on został obrany patronem ukraińskich dążeń niepodległościowych i odpowiednio ubronzowany. Wyniki, wychowawcze i polityczne zarazem, — znane. Oto owoce nienawiści!

Łatwe były do zaobserwowania i sprawdzenia objawy nienawiści i u części przynajmniej współczesnych nam Ukraińców i Polacy wiedzą dobrze, skąd zaczęły bić zatrute źródła. Dali się użyć przedziadowie halickich Rusinów za narzędzie w służbie obcej racji stanu (*Tyrolczycy Wschodu*) i przekazali potomności w puściźnie po sobie zatruty owoc niezgody, który może przynieść zagładę ich wnukom i prawnukom. Wychowywani w lojalności i oddaniu cesarzowi oraz w nienawiści do wszystkiego co polskie, Rusini haliccy w czasach krańcowo odmiennych i w chwili przełomowej nie umieli wybrać drogi godnej narodu politycznie dojrzałego, a znalazłszy się raz w "*czworoboku śmierci*"[2]) — do dziś jeszcze zeń nie wyszli.

W "*czworoboku śmierci*" walczył wtedy i późniejszy twórca U.O.W. i O.U.N. i tam, śmiem przypuszczać, zaszła w tym człowieku dziwna zmiana. On, który od 1917 r. walczył o każdą piędź ziemi ukraińskiej nad Dnieprem, organizował tam Ukraińskich Strzelców Siczowych, "ukrainizował" Kijów — pod wpływem halickich polityków z "*czworoboku śmierci*" poszedł razem z szczątkami oddziałów halickich pomagać gen. Denikinowi, nieprzejednanemu wrogowi wszystkich państw i narodów, które "ograbiły *jedinuju da niedilimuju*". Konowalec nie wziął udziału nawet w wyprawie kijowskiej w 1920, w której z wojskami polskimi współdziałały niepodległościowe oddziały ukraińskie, lecz wróciwszy do Lwowa założył wkrótce po zawarciu Traktatu w Rydze — U.O.W., Ukraińską Organizację Wojskową.

Walki o odrębną i niepodległą *Ukraińską Ludową Republikę* dobiegały krwawego końca. Uwierzywszy ponętnym hasłom, oceniając inaczej niż niepodległościowcy samą istotę zagadnienia, mieszkańcy Ukrainy właściwej — naddnieprzańskiej — zimnymi oczyma patrzyli jak pod Bazarem 359 powstańców ukraińskich szło po kolei na śmierć z wyroku przedstawicieli "*starszego brata*", występujących z ramienia władzy "*chłopów i robotników*". Po kolei zlikwidowano grupę Tiutiunnyka i inne grupy pomniejsze, tułające się po lasach i uroczyskach, a kto się ocalił, szedł na tułaczkę. Założona przez Eugeniusza Konowalca U.O.W. w Polsce miała swymi wystąpieniami przedłużyć szczęk broni walczących szeregów, pielęgnować ducha bojowego w społeczności ukraińskiej i wydobyć z niej nowe siły do dalszej walki o tę samą sprawę.

DZIAŁALNOŚĆ ORGANIZACJI

Pierwsze odezwy i ulotki, które organizacja wydała, wykazały, że wstrząs wojenny wśród ludności ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej jeszcze się był nie uciszył całkowicie i że akcja propagandowa i bojówkarska spotkała się z dużym stosunkowo odzewem. Pracowicie i z zaniedbaniem innych cennych dziedzin kultury narodowej uczyli pogrobowcy habsburskiego lojalizmu swoją młodzież, że najważniejszą sprawą jest nienawiść do Polski. Począwszy od roku 1848 jedyną myślą polityczną całych grup społeczności rusko-ukraińskiej w dawnej Galicji stało się wyszukiwanie za wszelką cenę zasadniczych przeciwieństw w dążeniach obu od wieków tę ziemię zamieszkujących narodów. Wychowane w takiej atmosferze pokolenie halicko-ukraińskie pierwszych dwu dziesiątków lat dwudziestego stulecia entuzjazmowało się ukraińskim wojskiem narodowym i przeżywało głęboko starcie zbrojne polsko-ukraińskie w 1918–19 r., ale absolutnie nie rozumiało, że wojna ta była nie tylko moralnie bratobójcza, ale i w najwyższym stopniu praktycznie szkodliwa, a to z uwagi na konieczność współistnienia obydwóch, równie silnie od zewnątrz zagrożonych bratnich narodów. Poszła więc i młodzież halicko-ukraińska lat dwudziestych i trzydziestych naszego wieku śladem starszego pokolenia, które samo nie poparło było wszystkimi siłami zmagań niepodległościowych ukraińskich na terenie właściwym i przegrawszy tam z własnej winy stawkę historyczną, rozbiegło się na wszystkie świata strony ze sfingowaną legendą o polskiej odpowiedzialności za ukraińskie winy, a nawet z legendą o "*polskiej zdradzie*".

PO ROKU 1928

Organy "*Surma*" i "*Rozbudowa Nacji*", inne specjalne wydawnictwa i ulotki, mordy skrytobójcze i zbiorowe demonstracje wytwarzały dookoła organizacji nimb, który szczególnie pociągał młodych, pragnących zdobyć "*sławę kozacką*" w walce o niepodległość, która w istocie rzeczy stała się walką przeciw niepodległości. *Dekalog ukraińskiego nacjonalisty* nakazywał młodzieży ukraińskiej zdobyć niepodległość albo zginąć, przy czym, *expressis verbis*, nie wolno było wartościować moralnie środków prowadzących do tego celu. W elementarzu narodowym Ukraińców, w utworach Tarasa Szewczenki, szukali ukraińscy haliccy nacjonaliści nie tyle uzasadnienia pozytywnej idei niepodległości kraju, w którym żył i cierpiał Szewczenko, ile negatywnej idei wrogości do współobywateli Polaków w odnowionym Państwie Polskim. Nie krępowano się bynajmniej takimi drobnostkami, że i sam Szewczenko umiał zwrócić się do Polaków ze słowami przyjaźni i braterstwa i że właśnie społeczność polska tak silnie i dobroczynnie oddziałała na wyłaniający się ze stuletniej martwoty narodowy ruch ukraiński.

Siły organizacji rosły, zwłaszcza po przekształceniu na wiedeńskim kongresie w 1928 r. pierwotnej o charakterze konspiracyjnym U.O.W. na O.U.N., którą zaprojektowano jako organizację masową, choć zarazem konspiracyjną. Dopuszczono wtedy do organizacji większą liczbę ludzi i starano się odebrać organizacji wszelkie znamiona grupowości czy klasowości. Na lufę uciętego *manlichera* czy przemyconego z Niemiec *orgescha* przysięgali coraz częściej obok siebie student, ksiądz greko-katolicki, inteligent, parobczak wiejski, robotnik i nawet uczeń gimnazjalny. Jątrząc stosunki polsko-ukraińskie w myśl przyjętej zasady "*im gorzej — tym lepiej*", dokonano w jesieni 1930 r. próby sił, strzelano do swoich i obcych, palono domy i nawet zbiory z pól i zbierano cenne dla odradzającej się niemieckiej machiny wojennej informacje militarne. Przebywający we Wiedniu, Pradze lub Berlinie Konowalec nie zawsze panował nad rozigraną fantazją i inicjatywą niektórych współpracowników i może dlatego wśród wielu wyczynów O.U.N. znalazło się i morderstwo w Truskawcu takiego przyjaciela dążeń ukraińskich wśród Polaków, jakim był bez wątpienia Tadeusz Hołówko. Czy raczej i temu czynowi nie należała się znana nazwa "*na wicznu hańbu*"?

CIEŃ SKRZYWIONEGO KRZYŻA

Nie mógł nie dostrzec działalności O.U.N. rewizjonizm niemiecki, czy to demokratyczny czy nazistowski. Wykazanie, że Traktat Wersalski skrzywdził pokojowe usposobione Niemcy, oraz doprowadzenie do rewizji Traktatu przede wszystkim na "niemieckim Wschodzie" — wydawało się łatwiejsze przy użyciu i wyzyskaniu dla celów niemieckich takich ruchów ekstremistycznych jak chorwackich *Ustaszi*, węgierskich *Tesz* i *Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów*. Z setek a nawet tysięcy artykułów, z niezliczonej ilości książek i rozpraw pseudo-

[1]) Artykuł nadesłany.

[2]) W 1919 r. oddziały znane jako Ukraińska Halicka Armia, wyparte zostały przez wojska polskie z Małopolski Wschodniej za Zbrucz, gdzie też równocześnie w ciasnej przestrzeni między polską granicą i Smotryczem znalazły się oddziały ówczesnej naddnieprzańskiej Ukraińskiej Ludowej Republiki, osłabione walkami z napierającą Czerwoną Armią. W tym "*czworoboku śmierci*" obie grupy ukraińskie we wzajemnej niezgodzie i odcięte od świata składały dań obfitą szalejącemu tyfusowi i klęsce głodowej.

naukowych zieje prawda o namiętnym śledzeniu przez Niemców perepetyj sprawy ukraińskiej w Polsce, o dokładnym analizowaniu każdego znaczniejszego wystąpienia O.U.N. Równocześnie zaś z drugiej strony granicy teoria doktrynerów opętanych wizją rewolucji światowej również analizowała szczegółowo te same zjawiska — w kierunku z góry ustalonym: udowodnienia, iż są to znamiona konsekwentnie się rozwijającego procesu opartego na materializmie dziejowym. Analizy tych teoretyków miały oczywiście następstwa najzupełniej praktyczne, co nie jest jednak tematem niniejszych rozważań.

Jest pewne, że istniały kontakty niektórych organów państwa niemieckiego najpierw z U.O.W. a potem z U.O.N. Istniała też daleko posunięta współpraca w zakresie tych kontaktów, piszący te słowa nie umie jednak powiedzieć, czy istniała jakaś obszerniejsza umowa nazistowsko-ounowska lub jakiś obszerniejszy plan współpracy przewidujący wydarzenia przyszłości i ustosunkowanie się do nich. Nie jest wykluczone, że U.O.W. czy O.U.N. nie żądały nawet żadnych szczegółowych gwarancyj politycznych, lecz po prostu z nienawiści do Polski z lekkim sercem działały w Polsce na rzecz celów niemieckich. Zjawiska takie, wypływające z uczuć negatywnych, znane są nawet w procesach politycznych jawnych, a co dopiero w mrokach konspiracji! Przed dojściem w Niemczech do władzy Hitlera i ruchu nazistowskiego *Reichswehra* miała niewątpliwie kontakty z U.O.W. i potem O.U.N. i korzystała z usług tych organizacyj w zakresie szpiegostwa przeciw Państwu Polskiemu.

Współpraca Reichswehry z O.U.N. wzmogła się znakomicie, gdy na czele Reichswehry stanął (1928–1932) jako minister gen. W. Groener, b. szef sztabu wojsk niemieckich na Ukrainie w 1918 r. Po dojściu jednak do władzy Adolfa Hitlera wszystkie sprawy związane z akcją wywrotową w poszczególnych krajach przeznaczonych na łup Rzeszy przejął w swoje ręce Alfred Rosenberg, obecny *Reichsminister fuer die besetzten Ostgebiete*, który jednak nie cenił i nie ceni sobie wielce żadnego ruchu politycznego ukraińskiego. W związku z tym nie przebierał w ludziach na odcinku swoich zainteresowań ukraińskich. Pierwszy jego ukraiński mąż zaufania, Pułkownik Iwan Połtaweć-Ostrianycia, nie był — jak się później okazało — ani pułkownikiem, ani Połtawcem, ani Ostrianicą, lecz zwyczajnym awanturnikiem z pod ciemnej gwiazdy *Iwanom Brechunom* (Iwanem Samochwałem) jak dosadnie określa takie zjawiska dowcip naszych współobywateli Rusinów. Zabity przed rokiem w katastrofie kolejowej w Polsce Aleksander Sewriuk, przeciwstawiany na konferencji pokojowej w Brześciu w 1918 r. przez Niemców delegacji sowieckiej z Trockim na czele, pił wodę z tak rozmaitych źródeł, iż m.i. był w latach 1926–28 współredaktorem sowieckich *Ukraińskich Wistej* w Paryżu, a skończył znowu w służbie niemieckiej — jako współpracownik Rosenberga. Nie miała do niego zaufania O.U.N., która mu epizodu sowieckiego nigdy wybaczyć nie mogła, a są też i inne oznaki, że kierownictwo O.U.N. było niemile zaskoczone poczynaniami Rosenberga. Prawdopodobnie O.U.N. usiłując rozpocząć politykę oparcia się o siły w kraju stawiała warunki Rosenbergowi, których on przyjąć nie chciał. Zmierzał on zresztą do całkowitego podporządkowania sobie wszystkich organizacyj emigracji politycznej ukraińskiej i w tym celu zdążał do ich organizacyjnego skomasowania. Nie mogło jednak dojść do zgody O.U.N. z grupą hetmana Skoropadskiego pod żadnym warunkiem, a z drugiej strony grupa emigrantów z nad Dniepru, podtrzymująca tradycję Ukraińskiej Ludowej Republiki (U.N.R.) z okresu Petlury, choć próbowała rewidować swój negatywny stosunek do Hitlera w miarę zbliżania się zawieruchy wojennej ("*Tryzub*" i "*La Revue du Promethee*" — Paryż, 1938), ale ze stanowiska wyczekującego nawet po załamaniu się Francji w 1940 r. nie zeszła.

PO ŚMIERCI PROWIDNYKA

Wiadomość o rozszarpaniu przez maszynę piekielną Eugeniusza Konowalca (maj 1938, Rotterdam), była dla przeciętnego czytelnika gazet, a nawet dla przeciętnego polityka zachodnio-europejskiego, jedynie sensacją dnia — dla każdego zaś obeznanego z nurtem spraw we Wschodniej Europie oznaczała, że zbliżamy się do wielkich wydarzeń na naszym kontynencie i w każdym razie do dużej wagi przeobrażeń na odcinku ukraińskim. I rzeczywiście jesień 1938 r. stała się tryumfem politycznym O.U.N., gdyż autonomia nadana Rusi Podkarpackiej, przechrzczonej wtedy na Karpacką Ukrainę, pod naciskiem niemieckiej zbrojnej pięści, świadczyła o rozpoczęciu akcji zmierzającej pozornie do utworzenia wielkiego państwa ukraińskiego pod egidą Niemiec i to, co więcej, jak to O.U.N. zapowiadała-etapami, od zachodu . . . .

Zgodnie zapewne z testamentem politycznym E. Konowalca kierownictwo ruchu objął wtedy Andrzej Melnyk, uczestnik walk w 1918–20 w stopniu pułkownika, b. szef sztabu podówczas *Ukraińskich Siczowych Strzelców*, krajowy (t.zn. działający konspiracyjnie w Polsce) *prowidnyk* O.U.N. i członek ruchu od samego jego zarania. Nominacja ta nie przeszła zresztą bez szemrania w kole najbardziej zaufanych członków *Prowodu* O.U.N., gdyż wygórowanych ambicyj personalnych nigdy nie było brak u "panów starszyzny koszowej".

Potężny wir wydarzeń przesunął jednak na płaszczyznę dalszą nieporozumienia osobiste. Pierwsza proklamacja nowego *prowidnyka* ogłoszona została w języku ukraińskim przez niemiecką stację radiową *Rawag*, na Rusi Podkarpackiej organizowano milicję "*Sicz*", skupiano dookoła małego "państwa" cały dostępny dla O.U.N. *aktyw* inteligencji ukraińskiej i podsycano nastroje irredentystyczne w Polsce, co zbiegało się z zapoczątkowaniem harców propagandy hitlerowskiej, wybiegającej nad Wisłę i Dunaj. Lecz rychły upadek "*Karpackiej Ukrainy*" był dotkliwą kompromitacją dla jej inspiratorów z ramienia O.U.N. i momentem, w którym — zdawało się — Andrzej Melnyk zawróci z drogi współpracy z Niemcami. Był on bowiem uważany za *pozytywistę* ruchu O.U.N. i jak chodziły słuchy sprzeciwiał się bestialskim wystąpieniom terrorystycznym, godnym czerni Gonty, jak np. mord na rodzinie Jasińskich w 1937 r. A. Melnyk uważał podobno, że silne zaplecze w kraju jest najlepszą rękojmią dla wszystkich poczynań O.U.N. na terenie zagranicznym i wewnętrznym, ale objąwszy kierownictwo organizacji *sine beneficio inventarii* poszedł po linii najmniejszego oporu, poprzednio wytkniętym szlakiem nadziei na łaskę i pomoc niemiecką.

Właściwie, doświadczenia z Karpacką Ukrainą O.U.N. powinna była przyjąć jako rzecz naturalną, gdyż Niemcy nie okazały nigdy, że sprawę ukraińską traktować mogą i chcą niezależnie od chwilowych, koniunkturalnych korzyści własnych. Pomiędzy Niemcami a Rosją Sowiecką istniał od 16 kwietnia 1922 Traktat z Rapallo, rozszerzony z kolei przez traktat handlowy berliński z 1925 r., który znowu został uroczyście potwierdzony przez Adolfa Hitlera w maju 1934. Według jednogłośnej opinii polityków niemieckich Rapallo — jakkolwiek nie doprowadziło do najazdu na Polskę w latach 1923–24, czego Sztab niemiecki się spodziewał — wzmacniało znakomicie politykę niemiecką i nie powinno było być niedostrzeżone przez poważniejszych polityków niepodległościowych ukraińskich. Melnyk pozostał jednak na zakręcie historii bezradny i nie zdobył się na jakiekolwiek wystąpienie przeciw Niemcom nawet wtedy, gdy po upadku Karpackiej Ukrainy Hitler kazał przypomnieć przedstawicielom O.U.N., że Rzesza nie jest instytucją filantropijną i nie może opiekować się małymi narodami i że to już raz na zawsze stwierdzone zostało w *Mein Kampf*. Dlatego też niewiadomo już czemu przypisać należy fakt wydania przez *prowidnyka* O.U.N. odezwy, wzywającej do zamieszek w Polsce w momencie, w którym Niemcy uderzali na Polskę, bronioną również przez swoich ukraińskich współobywateli. Bo jakiekolwiek odezwy wydawała O.U.N., nic z pamięci ani serc polskich wymazać nie potrafi tych uczuć, które budzi widok grobów żołnierskich w Polsce, kryjących w sobie obok Polaków także współobywateli Ukraińców, poległych za tę samą sprawę.

Zapewne jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, a więc w obliczu drugiej "*wielkiej ruiny*", gdy aresztyN.K.W.D trzebiły ukraińską nadzieję na przyszłość-młodzież, i ukrainizowały Małopolskę Wschodnią na swój sposób, powstał w łonie O.U.N. rozłam, który jak najpoważniej zachwiał całą budową organizacji od wewnątrz. Na przekór Niemcom i na przekór prowodowi O.U.N. Nr. 1 *prowidnyk* O.U.N. Nr. 2, Stefan Bandera, ogłosił się po wkroczeniu Niemców do Lwowa premierem Zachodniej Ukrainy (?), a gdy władze niemieckie zlikwidowały tę groteskową demostrację — *prowidnyk* Nr. 2 zaczął strzelać do swoich rywali i przeciwników organizacyjnych (a dlaczego nie do Niemców? !). Od bratobójczych kul zwolenników Bandery zginęli m.i. w Żytomierzu w 1941 r. ideolog ostatniej fazy rozwojowej O.U.N. inż. Ściborski i "minister spraw zagranicznych" Konowalca—Senyk.

Jakkolwiek grupa Bandery nie wystąpiła przeciw Niemcom, odcięła się wewnętrznie od prowidnyka Nr. 1. Melnyka i zwłaszcza od ukraińskiego *oberquislinga* w Polsce prof. Kubijowicza, który ostatecznie dowiedział się od swoich germańskich protektorów, że Lwów to "*urdeutsche Stadt*", które od wieków niczego innego nie pragnęło, jak tylko "*zurück zum Reich*".

Dalsza przyszłość tej krwawej i w tragiczne sprzeczności zawikłanej organizacji ukraińskiej z natury rzeczy w niniejszym fragmencie przedstawiona być nie może. Nie ulega wątpliwości, że dążenie do oderwania od Polski części jej terytorium musiało spotkać się z nieustępliwą aż po śmierć i grób postawą każdego Polaka. Nie może też być inna i w przyszłości postawa całego narodu polskiego wobec koncepcyj budowy Ukrainy od Lwowa czy też kończenia tej budowy Lwowem. Im prędzej to zrozumieją wszyscy zainteresowani w budowaniu powojennej rzeczywistości w Europie Środkowo-Wschodniej, rzeczywistości opartej na wolności i poszanowaniu praw zarówno jednostek jak i grup narodowościowych — tym dla wszystkich lepiej.

STEFAN WINNICKI

JÓZEF CZESŁAW BARTOSIK

O.R.P. GARLAND W KONWOJU
DO MURMAŃSKA

PIERWSZE wrażenie jakie uderza każdego kto ma możność obserwowania ewolucji floty, to doskonała harmonia i zgranie jej ruchów. Na dany sygnał poszczególne okręty wykonują zwroty w tym samym momencie i dokładnie w ten sam sposób. A jednak, — pomimo takiej optycznej jedności każda z tych pływających gór żelastwa tętni rytmem własnego życia. Wystarczy wejść na pokład aby odczuć tchnienie indywidualnej duszy okrętu. O jej naturze powie nam i nastrój załogi i jej duch bojowy, jej problemy, ale bezwątpienia najwięcej zdradzi historia okrętu.

Bo są okręty takie, które od dawna otacza aureola sławy sięgająca często obu stron oceanu. Ich nażwami wypełniają się czołowe szpalty gazet, o nich mówią w radio, drukują specjalne biuletyny. Ale są też i inne, nieznane nikomu, walczące w zapomnieniu, ciągle jeszcze czekające na swoją szczęśliwą kartę.

Jednym z tych, o których los uporczywie zapominał, był O.R.P. GARLAND. Pierwszy pogrobowiec, obsadzony już na wygnaniu, mający obcą, niepolską nazwę. Pomimo, że pływał już dwa lata, że naszą banderę wojenną zaniósł do portów Palestyny, morza Egejskiego, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Islandii i po sam Biegun nieomal, bo aż na Spitzbergen — pomimo, że pobił wszystkie rekordy pracowitości, przepływając ponad 120,000 mil (dziś już ze 180,000) nikt jakoś o nim nie słyszał. — Inni topili BISMARCKA, bili się pod Dunkierką, dokonywali zagonów na Lofoty — on ciągle pozostawał w cieniu. Tak jakby kaprys losu przeznaczał GARLANDA na Kopciuszka naszej Floty. Pewnie akurat dlatego, że w swoim herbie nosi wieniec laurowy i napis QUI MERRUIT FERRAT. Przyznam się, ze nieraz denerwowało nas to sarkastyczne motto. Wierzyliśmy jednak, że prędzej czy później przyjdzie dzień, gdy i nam wypadnie zdać egzamin. Wiedzieliśmy że GARLAND go zda. Tylko nikt nie przypuszczał, że droga do sławy prowadzić będzie przez Wyspę Niedźwiedzią i Murmańsk.

Mija właśnie rok, gdy w chłodny poranek majowy opuszczaliśmy malowniczą zatokę. Wyciągnięci w długi szyk zdążaliśmy na północ by dołączyć do konwoju, który wyszedł o jakieś 30 godzin wcześniej. W momencie gdy zajmowaliśmy pozycje w osłonie, statek komodorski przywitał nas na "dzień-dobry" sygnałem: "*Konwój został odkryty i zameldowany przez nieprzyjacielskie lotnictwo i okręty podwodne*"

"Trochę wcześnie zaczyna się zabawa", mruknął przez ramię stary sygnalista. Istotnie, zainteresowanie ze strony naszego partnera było wzruszające. Byliśmy pewni, że troskliwa germańska gościnność byłaby natychmiast rozpoczęła robienie honorów domu, gdyby nie gęsta mgła, która narazie udaremniła jakiekolwiek kurtuazje.

Po upływie doby mgła zaczęła rzednąć, przechodzić w pasy i smugi, po których przyszło do nas z powrotem słońce. A razem ze słońcem przywałęsał się nasz *Anioł Stróż*. Osobliwy, wstrętnie wyglądający w swej garbatej sylwetce, najeżony trzema motorami BLOHM UND VOSS. Będzie to odtąd nasz najwierniejszy towarzysz, nieodstępujący ani na krok do samego kresu wyprawy. Zawieszony tuż nad horyzontem zataczał olbrzymie powolne kręgi dokoła konwoju — w odległości dział. Latał — liczył statki — podpatrywał rozmieszczenie eskorty i wskazywał przez radio łup dla os, od których w międzyczasie aż huczało w rojowiskach rozsianych od Trondheim po Nord Cap. Gdy się zmęczył, luzował go inny opiekuńczy duch, a niekiedy zgoła dwa lub trzy naraz.

W południe dnia 25 maja przerwał sielankę krótki sygnał alarmowy dowódcy eskorty: "*spodziewany natychmiastowy atak lotnictwa torpedowego i nurkującego*". W kilka minut później niebo pokryło się obłoczkami rozprysków. Konwój i eskorta otworzyły huraganowy ogień do pierwszych eskadr torpedowych. Wypuszczony z katapulty statku komodorskiego jedyny aparat myśliwski konwoju, typu HURRICANE, rzucił się na klucz HEINKLI ociężale dźwigających swoje torpedowe żądła, zestrzelił jeden z nich, a drugi uszkodził. Gdy wracał nad konwój, został w ferworze walki zestrzelony przez pomyłkę. Wprawdzie pilota wyciągnięto z morza, ale odtąd pozostały nam aż do końca operacji tylko własne działa, jako jedyny argument przeciw szponom Luftwaffe.

Tymczasem atak trwał. Padały setki bomb. Formacje JUNKERSÓW skoncentrowały swe uderzenie na czołowych statkach kolumn. Pewien amerykański transportowiec trafiony wiązką bomb złamał się w pół i zatonął w ciągu kilkunastu sekund. Z całej załogi nie wyszła żywa dusza. Jeden z atakujących JUNKERSÓW probując wyprowadzić się z lotu nurkowego, przeleciał tuż przed dziobem GARLAND'A. Był to jego ostatni lot. Ostrzelany ogniem naszych Oerlikonów stanął w płomieniach i spadł do morza. Dwa białe wachlarze spadochronów opadały powoli, aż osiadły na powierzchni Lodowatego Oceanu. Nikt z konwoju nie poszedł ratować. Nie było czasu.

Naloty powtarzają się odtąd regularnie przez cały dzień i tak zwaną noc, która tutaj — wewnątrz Kręgu Polarnego, jest w ciągu całego lata równie słoneczna, jak i reszta doby. Jestem pewien, że niejeden ze starych wilków morskich nawet w swej młodości nie odczuwał większej tęsknoty do kojącego nastroju zmroku, jak właśnie teraz. Nie możemy narzekać na monotonię walki. Mamy bowiem ataki torpedowe, bombowe z wysokiego i niskiego pułapu i najczęściej nurkowe. Są one oczywiście zsynchronizowane z akcją okrętów podwodnych. Radiostacja zasypuje pomost sygnałami: "*Wielka formacja JUNKERSÓW w namiarze . . .*" lub "*torpeda z lewego skrzydła konwoju*".

Intensywna strzelanina trwająca z małymi przerwami przez cały 26. i 27. maja wypróżnia systematycznie nasze komory amunicyjne. Perspektywa to niewesoła, bo wiadomo zgóry że o żadnym uzupełnieniu zapasów w Rosji mowy być nie może. Dla oszczędności przeto zmuszeni jesteśmy do strzelania z pojedyńczych luf tylko. — Ludzie są coraz bardziej zmęczeni, nie śpią prawie wogóle.

Tak zastaje nas 27. maja, data pamiętna dla okrętu i całego konwoju. Do najbliższych baz lotniczych nieprzyjaciela jest teraz około 40 minut lotu. Ilość samolotów, biorących udział w nalotach przekracza cyfrę 100. Każdorazowo po uzupełnieniu zapasu bomb i torped wracają one z powrotem nad konwój. Strzelamy obecnie do celów najbliższych. Pomimo wysiłków eskorty, straty konwoju rosną. Niektóre statki toną odrazu, inne palą się powoli, skarżąc się niebu czarną kolumną dymu i ognia. Do pozostających w tyle inwalidów podchodzi kontrtorpedowiec Dowódcy eskorty, który jest wszędzie tam, gdzie niebezpieczeństwo wydaje się być największe. Statek, którego już niema nadziei uratować, topi torpedą. Inne, mniej poważnie uszkodzone, odsyła z powrotem. Żal nam tragicznej bezradności konwoju. Samoloty nieprzyjacielskie hasają nad masztami, ładując porcje bomb w nieruchome, wydaje się niezdolne do zmiany kursu, trwożliwie skupione trzody statków. Bezbronne owce giną, nieprzejawiając na pozór żadnego odruchu samoobrony wobec napadających wilków. Rzadko kiedy można ratować rozbitków, poprostu niema czasu, a ponadto wszelkie zatrzymanie się grozi torpedą z okrętu podwodnego. Mimo, woli nasuwa się refleksja: w o ile szczęśliwszym położeniu jesteśmy my na naszym zwinnym kontrtorpedowcu, dysponującym całą gamą szybkości, najeżonym dziesiątkami luf. Nasz mechanizm artyleryjski działa bez zarzutu. 120 mm działa, kierowane wspólnie z wieży dalocelownika i odpalane elektrycznie, panują nad konwojem. Ich potężna mowa jest dla nas najlepszym uosobieniem nadziei.

Wreszcie około godziny 2. po południu klaksony alarmowe poderwały nas po raz ostatni. "*Wielka formacja bombowców nad konwojem.*" Widać, że część samolotów obiera sobie za szczególny cel GARLANDA. Pierwsze ataki chybiają wprawdzie, bo bomby padają dość daleko. Drugi z kolei nalot wykonują 4 Junkersy. W telefonie artyleryjskim słychać krótki meldunek: "*Bomby lecą*". A zaraz potem uspakającą odpowiedź: "*Już setki leciały*". Dalsze słowa zmiażdżył gwałtowny ryk grzmotu.

I gdy grzmot minął, zaległa głęboka cisza, przerywana tylko jękami rannych i sykiem palących się łusek amunicyjnych w parkach 120 mm na dziobie. Orientacja marynarzy jest błyskawiczna. Wystarcza krótki rozkaz, a wyrzucane gołymi rękami płonące łuski wylatują za burtę. Nikt nie pyta o niebezpieczeństwo, najgorzej tylko, że nic dokoła nie widać! Kłęby szarego dymu walą z rozbitej pławy, przysłaniając lepką gryzącą zasłoną cały okręt. Jeszcze chwila i dymiąca pława znajduje się za burtą. Tymczasem głęboko pod pokładem, na samym dnie okrętu, gospodarze komór gaszą pożar, który się tam przedostał. Gdzieś za kominem bucha kłębami para, najwidoczniej maszyny lub kotły zostały uszkodzone; chyba nie wylecą już teraz; zresztą, o to napewno ktoś inny się martwi. Aż przykro patrzyć na drzazgi, które zostały z całego pięknego mechanizmu artylerii, tej dumy okrętu. Do dalszej walki nadają się tylko jedna 75 i jedna rufowa 120. Cała bateria dziobowa wybita, prawy Oerlikon wybity, obsługi NKMów zniesione, 50 ludzi rannych, niezdolnych do walki. A jednak bój trwa nadal. Musi trwać dopóki choć część pokładu utrzymuje się na powierzchni oceanu. Zresztą kazano nam doprowadzić konwój z dostawami do Rosji, więc doprowadzimy! Przy działach rufowych marynarze prowadzą ogień wśród stosów trupów i jęków umierających z ran kolegów. Znoszą ich tu w pobliże mesy oficerskiej, gdzie na stole operuje lekarz. Bardzo źle przedstawia się obronność sektora dziobowego. Zostało nam tylko jedno działo, z uszkodzoną lufą i powybijanymi do wewnątrz guzami. Jakże śmiesznie wyglądają zasady bezpieczeństwa w takich sytuacjach. Zaimprowizowana z niedobitków kucharzy, stołowych, torpedystów, ludzi, którzy rzadko kiedy widzieli działo z bliska, obsada już w cztery minuty później otwiera ogień do nalatujących nowych fal lotniczych. Działo Nr. 1 strzela powoli,

bardzo prymitywną metodą, ale strzela. Jakiś maleńki trauler, osłaniający konwój za naszą rufą przesłał nam krótki, lapidarny sygnał: "*Bloody good show*". Tak na swój prosty, ale szczery sposób, wyraził co odczuwał.

Bój trwał jeszcze przez całą dobę. Temperatura spadała coraz niżej, zaczynamy odczuwać bardzo dotkliwie zimno. Nad okrętem unosi się zapach krwi i spalenizny. Przy poszarpanych działach stoją ludzie otuleni w płaszcze, gotowi do skoku każdej chwili.

A wysoko nad ociekającymi krwią pokładami, nad umarłymi i tymi co pozostali przy życiu, by dalej bój prowadzić, powiewa nowiuteńka biało-czerwona bandera. Gdy podmuch, w momencie wybuchu, zerwał starą, zastąpiono ją natychmiast inną. Świeże jej barwy lśnią teraz w polarnym słońcu, o północy, jak symbol zwycięstwa.

Nad ranem Dowódca eskorty odsyła nas na własną rękę do Murmańska, celem uratowania życia ciężko rannych. Na pożegnanie salutuje nas i żegna słowami: "*God bless you, my very gallant ship*". To uznanie obcego Dowódcy, wyrażone na polu walki, było nam bardzo drogie. Tym bardziej, że pochodziło od oficera, który zyskał sobie dla swej dzielności szczere uznanie i podziw całego konwoju i eskorty.

Zaraz po odejściu, obserwatorzy na pomoście zameldowali białą plamkę na horyzoncie. Przyjęliśmy ją za krę, jak dziesiątki innych dokoła. Przypatrując się jej bliżej, oficer wachtowy zauważył przytulony do jej krawędzi czarny punkt. Był to kiosk niemieckiego okrętu podwodnego, a biały dymek pochodził ze spalin dieslowych motorów. Szliśmy największą szybkością na jaką nasze uszkodzone maszyny mogły się zdobyć — 20 węzłów. Pomimo to odległość do o.p. nie zmniejszała się. W pewnej chwili Niemcy zaczęli nawet nadawać do nas reflektorem. Widocznie wzięli nas za swoich. Trudno o większą ironię sytuacji! Teraz, gdy jesteśmy rozbici, niezdolni do pościgu, ze strzaskanymi działami, zjawia się przed nami na powierzchni w jasny dzień okręt podwodny. Odległość jest bardzo duża — około 15,000 metrów! Zaciskamy pięści, obserwując znikający powoli ku wybrzeżom Norwegii dymek. W chwilę potem nadlatuje od strony konwoju *Anioł Stróż*. Najwidoczniej zaniepokojony naszymi poczynaniami. Wiedzieliśmy wszyscy co to znaczy. Za dziesięć, może za piętnaście, może dwadzieścia minut, obsiądzie nas cały rój Junkersów. Mimowoli wzrok padał na rozbite lufy Oerlikonów i ciała poległych artylerzystów. — Mocny Boże!

Czekaliśmy 16 długich godzin. Dlaczego nie przyszli, tego nie rozumiałem wtedy, ani nigdy po tym. Łup czekał gotowy, a widoczność była nadzwyczajna na kilkadziesiąt mil. Czerwone ze zmęczenia oczy, walczące z ołowiem powiek, wypatrywały na próżno czarnych punkcików nad horyzontem.

Aż w końcu przylecieli! Tuż przed samym wejściem do Murmańska. Będąc już w zasięgu widoczności lądu, zauważyliśmy pod słońcem 9 sylwetek bombowców, nalatujących wprost na nas. W niejednej świadomości błysnęła bardzo plastycznie myśl: "*Koniec!*" Całe szczęście, eskadra przeleciała wielkim łukiem przed naszym dziobem, pokazując na kadłubach plamy czerwonych gwiazd. Ktoś z artylerzystów szepnął cicho: "*jesteśmy pod skrzydłami Rosji*".

. . . . .

O naszym kilkutygodniowym pobycie w Rosji nie mam niestety czasu mówić. Powiem tylko tyle, że był to okres wyjątkowej nędzy i przygnębienia, jakiego nie zaznaliśmy nigdy przed tym.

Z władzami i ludnością sowiecką nie było wogóle żadnych stosunków. Tylko jeden raz sowiecki admirał Gołubko, dowodzący flotą północną, napisał do dowódcy GARLANDA list, poto by nam przesłać wyrazy uznania i współczucia w poniesionych stratach. Jego sowiecki mundur nie pozwolił mu wprawdzie wspomnieć choćby jednym słowem że był to polski okręt; — oceniliśmy jednak ten szczery przynajmniej odruch marynarskiej duszy.

Nasze własne wrażenie było zgoła inne. Zwłaszcza teraz, gdy patrzymy z perspektywy czasu na opisane przejścia. Dla nas pozostanie faktem, że jednak bądź co bądź — mała, "nieistniejąca" geograficznie Polska pomagała wielkiej, potężnej Rosji. — Pomagała tak, jak ją było stać, z poświęceniem i z całego serca. Nikt nie pytał wtedy, poco giniemy za Rosję. Było coś bardzo smutnego w tej ofierze!

. . . . .

O.R.P. GARLAND wylizał się wkrótce z ran, działa naprawiono i stanęli przy nich nowi ludzie. Dzisiaj okręt ten walczy nadal, tak jak rok temu. Lecz ile razy przyjdzie maj, w całej swej wiosennej krasie, tym co tam byli staje przed oczyma ponury fiord Murmańska, w którego wodach pozostawiliśmy na zawsze długi rząd białych, nieheblowanych trumien kilkudziesięciu naszych braci. Na obcej, bardzo obcej nam ziemi, daleko poza kręgiem polarnym, Polska wzniosła nowy kurhan — i nowy pomnik swej wielkości.

Wśród tych, których pozostawiliśmy w szpitalu w Archangielsku, z amputowaną nogą i bez nadziei powrotu do W. Brytanii, był jeden kapitan marynarki, niedawno zwolniony z więzienia w Rosji. Jego pierwszym przydziałem po zwolnieniu był O.R.P. GARLAND. A pierwszą podróżą — Murmańsk! Więzienie, gdzie go przed tym trzymano, znajdowało się gdzieś w pobliżu Smoleńska. Może nie jeden z jego kolegów, których tam pomordowano, byłby później, tak jak on, walczył za Polskę i za Rosję! Szkoda to wielka — i nie tylko dla nas!

JÓZEF CZESŁAW BARTOSIK

NA MARGINESIE

WOJNA JEST RZECZĄ SERIO

Siła wrażeń wojennych tak bardzo przewyższa doświadczenia życia pokojowego, że kilka lat wojny kształtuje bardziej pokolenie niż długie okresy pokoju. Kształtuje, to znaczy albo wychowuje albo deprawuje, a raczej w każdym człowieku, w różnym stopniu, rozwija pewne cechy, przygłusza inne.

Pierwsza wojna światowa zupełnie różnie oddziałała na psychikę poszczególnych narodów. We Francji, gdzie wyginął kwiat ówczesnego pokolenia, rozbudziła przeświadczenie, że wojna jest rzeczą straszliwą, której za wszelką cenę należy unikać, nawet jeśli ma być zwycięska. W Niemczech, które o włos jej nie wygrały, zrodziła przekonanie, że straszną rzeczą jest przegrać wojnę, ale, że trzeba koniecznie odegrać się, bo wojna wygrana jest rzeczą wspaniałą. W Polsce skutki jej były najdziwniejsze.

Polska była w położeniu jedynym w swoim rodzaju. Nie miała tego poczucia, co n.p. Czesi, że niepodległość wygrała dyplomatycznie. Wiedziała, że granice wschodnie wywalczyła sobie sama, że na wytknięciu granicy zachodniej zaważyły powstania śląskie i wielkopolskie. Ale równocześnie armia polska nie brała udziału, powiedzmy to sobie szczerze, w prawdziwej wojnie ówczesnej. Doświadczenie dowódców nie wychodziło poza ramy batalionu. Nawet wojna r. 1919/20 nie miała charakteru walki z zorganizowaną potęgą państwowo-wojenną.

Wyrosła na tym tle swoista psychologia. Powiedzieć, że Polska odzyskała niepodległość dzięki dobremu wykorzystaniu politycznemu pomyślnego układu warunków, było rzeczą niepopularną, niesmaczną i każdy z nas wolał tak nie myśleć. A więc wywalczyliśmy niepodległość orężnie? Piętnastu ludzi z siodłami na głowie wyszło pieszo z Krakowa, a oto mamy najlepszą w Europie konnicę. Sowiety mają sto siedemdziesiąt milionów obywatełi, my trzydzieści pięć, ale cóż z tego, kiedy uciekali przed nami aż za Dniepr. Niemcy mają wspaniały sztab, ale co to znaczy wobec naszych wodzów, którzy z niczego, bez wykształcenia, zrobili armię i wygrali wojnę, kiedy Niemcy przegrali.

Powstał bardzo niezdrowy styl stosunku do wojny. Mówiło się wojenka, żołnierzyk, szabelka, konik. Każdy facet, który brał udział w pięknym fragmencie pod Krzywopłotami czy Rarańczą, uważał się za żołnierza bardziej doświadczonego niż jakikolwiek inny. Wpojono w społeczeństwo przekonanie, że wojna jest loterią, cudowną przygodą narodu, spór był już tylko o to, czy to Cud Boży, czy Czyn Wodza.

Nie ulega wątpliwości, że wbrew woli Opatrzności najlepiej nawet przygotowane państwo wojny nie wygra, ani też, że nie wygra jej bez dobrych dowódców. Ale wojna, to plan, to organizacja, to materiał, to mnóstwo, mnóstwo pracy. Tego w podręcznikach szkolnych w Polsce nie było, lecz o szarżach ułańskich i bohaterskich chłopcach było masa.

Modne było też słowo "Imponderabilia". Słowo to rzucił niegdyś Bismarck w zmaterializowanym społeczeństwie niemieckim. W romantycznym i lekkomyślnym społeczeństwie polskim trzeba było mówić o "Ponderabiliach", o tym co waży, co się liczy, kupuje, zużywa.

Doświadczenia naszego pokolenia, uczestników czy świadków Drugiej Wojny Światowej, jakżesz są różne. Na początku zdobyliśmy piekielnie gorzką wiedzę, co znaczy bohaterstwo przeciwstawione przygniatającej przewadze materiału, organizacji i planu, co znaczy x — krotna przewaga dochodu społecznego i trzykrotna przewaga demograficzna. Po tym dowiedzieliśmy się jak trudno jest stworzyć każdy nowoczesny oddział. Można być pewnym, że w naszym pokoleniu nie będzie się opowiadało o piętnastu bohaterskich chłopcach z siodłami na głowach, ani mówiło: wojenka, szabelka, konik.

Dla nas wojna jest rzeczą serio, diabelnie serio. Nie znaczy, by była nam wstrętna. Ludzie przedzierający się dziesiątki tysięcy kilometrów do wojska, ludzie marzący o froncie, a z takich składa się wielka część naszego pokolenia, nie są materiałem na pacyfistów. Wojna może być rzeczą niezbędną, jedynym wyjściem. Wojna ma swe ponure piękno. Ale wojna jest rzeczą poważną, najpoważniejszą w życiu narodów. Będziemy ją mierzyć siłą ducha, ale będziemy ją także liczyć na złote i kilogramy.

Jeśli z tej wojny wyjdą w Polsce jacyś t. zw. kombatanci, to będą to ludzie zupełnie nowego typu. Nic z blagi i dziecinnej chełpliwości nie zostawi im ta wojna. Wyjdą z niej bardzo poważni i bardzo realistyczni. Realistyczni, nie znaczy przyziemni. Każdy, kto styka się z wojskiem i widzi odrodzenie religijności nieznanej w tym stopniu od pokoleń, nie może mieć co do tego wątpliwości.

P. JANECKI

KSIĄŻKA

CHRISTOPHER DAWSON

THE JUDGMENT OF NATIONS

CZYTAJĄC książkę Dawsona trudno się nie zadumać nad tym, że prawie na każdej stronicy wyraża ona zasadniczo to, co nasi poeci i myśliciele mówili od dawna, że jednak prawdy, które proroczo wyczuli przed stuleciem, nie tylko nie stały się własnością, powszechną, lecz nawet we własnym narodzie świeciły jak światełko zawieszone wysoko ponad ciemnościami, przechowując się raczej w instynkcie Polaków, niżeli w ich pełnym rozumieniu.

Sam tytuł książki Dawsona — "*Sąd nad narodami*" nasuwa analogię z Psalmem Dobrej Woli Krasińskiego :

"*Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie*
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami".

Książkę zaś swoją kończy Dawson wezwaniem do Ducha Świętego. I znowu warto przypomnieć epizod z Polski po roku 1830. Młody student uniwersytetów niemieckich, August Cieszkowski, napisawszy rozprawę o filozofii dziejów, znalazł się w parafialnym kościele w Grembkowie i tam w chwili natchnienia zrozumiał doniosłość i wszechstronność wyłożonego w **Ojcze Nasz** ładu Bożego na ziemi. Resztę życia poświęcił tedy filozoficznemu i społecznemu tłumaczeniu słów modlitwy Pańskiej, oczekując, czy też zapowiadając religijne odnowienie ludzkości z przyjściem epoki Ducha Św.

Książka Dawsona jest probą i rodzajem szkicu historiozofii chrześcijańskiej, bardziej wszechstronnej i lepiej opracowanej dawniej przez Polaków, ale mogącej mieć teraz cechy nowości w środowisku, gdzie bardzo długo panowała zasada Cobdena : "*My nie bronimy niczego innego, jak tego, co się zgadza z najwyższym nakazem Chrześcijaństwa — kupowania na najtańszym rynku, a sprzedawania na najdroższym*" (str. 40).

Może najciekawszy z rozdziałów Dawsona jest zatytułowany "*Niepowodzenie liberalizmu*". Należąc do narodu angielskiego i do rasy anglosaskiej, związany jest Dawson z tym kierunkiem *głęboką* sympatią uczuciową. Stara się więc nam wytłumaczyć, do jakiego stopnia korzenie jego tkwią w tradycji Chrześcijaństwa, będącej znowu wspólnym węzłem narodów europejskich. Przyznaje co prawda, że przestrogi Papieży skierowane przeciwko liberalizmowi i koło roku 1878 uznawane za dowód reakcji, były usprawiedliwione i, że Pius IX potępił liberalizm za dążność do uwolnienia społeczeństw ludzkich od prawa Bożego. Ubolewa też Dawson nad powszechnym panowaniem nowej, świeckiej, kultury, ale nie dość jasno stwierdza, że w przeważnej części jest ona tworem liberalizmu. Ten ostatni, jak piękny kwiat wyrósł w warunkach wyjątkowego dobrobytu, korzystał przy tym bez skrupułów ze skarbów poprzednich stuleci i narodowej gleby każdego kraju, a na kontynencie Europy był bezwątpienia narzędziem ludzi, walczących o władzę i w tej walce obalających nie tylko stare instytucje, ale wiązadła równie bezcenne, jak rodzina. Świetna literatura XIX wieku, w całej Europie, w wielu swych objawach nacechowana była elementami destrukcyjnymi. Poza tym liberałowie czystego typu, tak jak Girondyści, w chwilach przewrotów okazują się niezdolni do utrzymania steru politycznego i zostają zawsze usunięci od rządów, które poprzednio osłabili.

Jeżeli liberalizm współżył najlepiej z kapitalizmem, to ten ostatni bezwątpienia spłodził socjalizm. A znowu, jak pisze Dawson (str. 45), "Kontynentalny socjalizm taki, jaki znalazł swój wyraz przede wszystkim u Karola Marksa, jest odpowiedzialny nie tylko za zdyskredytowanie liberalnej ideologii, ale też za totalny sprzeciw wszelkiej wolności, w cieniu którego obecnie żyjemy."

Na miejsce wybredności i walki z każdym choćby drobnym skrępowaniem, zapanował kult siły, dzikiej, brutalnej i barbarzyńskiej. *Państwo-bóg* od najdawniejszych czasów było zawsze największy nieprzyjacielem Boga, ale nigdy ten potwór, czy ten lewiatan nie rozporządzał większą potęgą materialną. "Dziewiętnasty wiek, pisze Dawson, wyobrażał sobie, że na zawsze odrzucił proskrypcje i prześladowania, tortury i niewolnictwo, oraz strach przed nagłą śmiercią, a oto wszystkie te zmory powróciły i to w objawach gorszych niżeli je znała przeszłość. Odkryto, że zło może mieć także postępowe oblicze" (str. 2).

A w innym miejscu czytamy : "Przerażającą rzeczą nie jest rewolucyjna gwałtowność rosyjskiej rewolucji oraz puczu z 1933 r. w Niemczech. Nie przeraża nas tajna policja, ani] okrucieństwo i zdrada towarzyszące jej, tylko to, że wsteczny ruch nie zna granic, że w ciągu paru lat całe społeczeńtwo od wysokiego idealizmu rewolucyjnego przechodzi do stanu zorganizowanej nieludzkości, likwiduje uwarstwienia społeczne, przesiedla setki tysięcy ludzi i niszczy plemiona bardziej bezwzględnie od dawnych Assyryjczyków i średniowiecznych Tatarów. A nowe barbarzyństwo jest gorsze od dawnego, bo nie natchnione zwykłym okrucieństwem prostych społeczeństw wojskowych, tylko przewrotną nauką znieprawionej cywilizacji" (str. 46).

Nie wyobrażajmy jednak sobie, że to dopiero Rauschning znalazł imię dla tej "*Rewolucji zniszczenia*". Dawno temu Krasiński pisał :

I będzie się pasowało
Z ślepem ciałem ślepe ciało,
Z brudem — brud !
I będzie świat cały
Nad grobowym progiem
Bez Boga !
Ostatnim mu Bogiem
Wszechtrwoga !
Przed strachu bałwanem
Zgniją ludzkie serca.
Wieku tego Panem
Kat, szpieg i morderca !

Dawson słusznie pisze, że komunistyczna Rosja jest właściwą kolebką nowego despotyzmu, Hitler zaś i Mussolini jego wtórnymi objawami. Historii przy tym nie można przekreślić, nawet w epoce zaprzeczenia praw historycznych. W ustrojach Anglii i Ameryki istnieje pojęcie prawa i szacunek dla wolności jednostki większy niżeli u Niemców i u Rosjan, u których cześć dla potęgi militarnej przesłaniała zawsze wolność osobistą. Gdyby Rosja nie miała za sobą tradycji despotyzmu, a Prusy militaryzmu, nie uległy by tak łatwo nowym doktrynom siły i pogaństwa. Nie sądzimy jednak, pisze Dawson, aby państwa demokratyczne były wolne wewnętrznie od zarazy totalitarnej. Nawet po upadku Niemiec groźba ta może nie być zażegnana. Masy pod wpływem *demokratycznych* haseł mogą się dostać pod panowanie *dyktatorów*, tym bardziej że walkę z wolnością prowadzą dziś nie dziedziczni monarchowie ani arystokraci ale demagodzy w najściślejszym tego słowa znaczeniu, może najwięksi demagodzy jakich świat znał kiedykolwiek (str.4 9).

Jak nawrócić z tej błędnej drogi demokracje broniące bądź co bądź wolności czyli odblasków chrześcijaństwa? Co przeciwstawić powszechnej materialnej świeckiej kulturze? Jak obronić jednostkę od zszeregowania i wszechwładzy Państwa? Wśród rozbicia, pisze Dawson, podwaliny chrześcijańskiego porządku jeszcze trwają, oparte zaś są na odwiecznym prawie natury, które jest prawem Bożym. Ojciec św. Pius XII w swojej encyklice "*Ciemność ponad ziemią*" wskazał, że zasady, które podminowały i zniszczyły chrześcijański porządek są nie tylko ogólnie negatywne, ale wręcz przeciwne naturze. Zaprzeczenie braterstwa ludzi, cześć dla potęgi absolutnej Państwa są w sprzeczności z prawem naturalnym. "Musimy budować na nowo, dodaje Dawson, na podwalinach tego, co jeszcze pozostało z ludzkiej natury i narodowej tradycji. Bo jak obecny Papież wytłomaczył nam w swojej encyklice o wojnie, narodowa tradycja jest rodzajem świętego dziedzictwa, którego nie można niedoceniać, tym bardziej, że nie tylko nie jest przeciwna chrześcijańskiemu ideałowi braterstwa między ludźmi, ale jest naturalnym organem, przez który ten ideał musi być urzeczywistniony "(str. 127). Naturalnie (str. 100) "Bez sprawiedliwości państwo jest niczym innym, jak zorganizowanym rozbojem, a prawo narodów niczym innym, jak prawem do niszczenia słabych."

Na zakończenie trzeba zaznaczyć, że najpiękniejsze ustępy swojej książki Dawson zawdzięcza cytatom z Pisma św. i encyklik papieskich. Są to dwa źródła wielkiego i niewyczerpanego natchnienia.

W ramach poszczególnych państw wymagania autora są raczej skromne. Napór warunków ekonomicznych i świeckiej kultury musi mu wydawać się bardzo silny, bo wysuwa jako nieodzowne : wolność zrzeszania się, wolność w wyborze powołania oraz wysoki poziom urzędników. Poczucie moralności i odpowiedzialności w spełnianiu urzędowania stało zawsze w Anglii bardzo wysoko. W ustach, czy pod piórem praktycznego Anglika, uważamy te postulaty za umiarkowane. Może jednak, gdybyśmy je dosłownie chcieli zastosować do innych narodów, nabrałyby one cech rewolucyjnych ?

JAN RAJECKI

ODBRONZOWANIE LEGENDY LEWICY

BOY-ŻELEŃSKI wprowadził w Polsce modę odbronzowiania historii literatury. Olgierd Górka z entuzjazmem stara się wykazać, że właściwie większość polskich królów i hetmanów były to miernoty, jeśli nie gorzej jeszcze. Ironią losu wydaje się fakt, iż już w tak krótkim czasie po jego śmierci wierni towarzysze zakuli samego Boy'a w śpiż godny *Geniusza* z jego własnej krakowskiej sceny. Niewiadomo czy uda się to samo zrobić z Górką, któremu zresztą życzymy jak najdłuższego życia.

Dość osobliwym wydać się musi że podczas gdy postacie takie jak Sobieski, książę Poniatowski, lub nawet biedny Jeremi Wiśniowiecki przedstawiane są szyderczej tłuszczy w jak najbardziej brutalnej nagości, chętnie narzuca się płaszcz i obfite zasłony na niektóre postacie znacznie bliższej historii. Jeśli ma być zabawa w nudystów, to dlaczego właściwie ograniczać się do bohaterów powieści Sienkiewicza? Dlaczego zrywać ostatnie strzępy kontusza z piersi Skrzetuskiego, pozostawiając wstydliwe szaty na tak interesującej osobie jak Róża Luksemburg?

Dysonans ten widocznie zwrócił uwagę Stanisława Mackiewicza, którego obserwacja życia publicznego i prądów myśli działa jak najczulszy aparat do wykrywania obecności gazu: jeszcze nos nic nie czuje, a strzałka aparatu już skacze w górę i dzwonek dzwoni na alarm. To zakłamanie w stosunku do najbliższej przeszłości posiada pewne cechy gazu odurzającego, czasami nawet rozweselającego.

W swoim studium polityki Becka "*O jedenastej, powiada aktor, sztuka jest skończona*" — Cat rozbił w puch, malutką coprawda, legendę jaka się błąkała koło osoby byłego ministra spraw zagranicznych. Odbronzowianie jest sztuką nie mniejszą niż odlewanie posągów z bronzu. Nie chodzi tu o brutalny atak i zmieszanie z błotem, lecz o możliwie objektywne i trafne skorygowanie pewnych przesądów i na niczym nie opartych a mocno ugruntowanych pojęć.

W nowej swojej książce "*Klucz do Pilsudskiego*" [1]), Mackiewicz sięga do innej, dawniejszej nieco epoki. Nie dotyka on legendy Piłsudskiego, którą przyjmuję za część historii, co jest jego dobrym prawem, a czym się w niniejszych uwagach zresztą nie zajmujemy.

Natomiast studium historii PPS i rol[1] odgrywanej przez tę organizację w okresie walki o Niepodległość otwiera ciekawe bardzo perspektywy. Mackiewicz operuje cytatami z przemówień, deklaracji, artykułów. Praca jest wysoce skrupulatna, wymowa cytat — druzgocąca.

W okresie dwudziestolecia niepodległości wyrobiło się popularne przekonanie, które przeniknęło bodaj nawet do podręczników szkolnych, jakoby PPS była przed 1914 jeśli nie główną, to w każdym razie najbardziej aktywną organizacją niepodległościową. Do szerzenia poglądu tego przyczyniła się, zwłaszcza po 1926 roku, jednostronna propaganda "*czynu zbrojnego*" jako jedynego wartościowego środka akcji politycznej, przy jednoczesnej deprecjacji konstruktywnej myśli politycznej i wszelkiej dyplomacji. Z takiego poglądu na sprawę wynikało że każdy bojowiec z brauningiem w ręku był siłą rzeczy patriotą, zaś członek Dumy Roman Dmowski nieledwie zdrajcą. Pogląd ten, dość dziecinny, mógł jednak mieć pewien wpływ, zwłaszcza jeśli się zarazem zapomniało dodać w jakim celu dźgał nożem bojowiec i co mówił w Dumie przedstawiciel Polski.

Mackiewicz po mistrzowsku odsłania kulisy ruchu lewicowego w Polsce i jego podkład ideologiczny, zwłaszcza w okresie przed 1905. Powstrzymuje się on, bardzo słusznie, od wszelkich uogólnień i od rzucania jakichkolwiek zarzutów przeciwko tym socjalistom polskim, którzy stosunek swój do sprawy niepodległości udowodnili całą swoją działalnością, a nieraz i własną ofiarą. Ludzie ci zasługują na szacunek każdego Polaka, nawet skrajnie odmiennych przekonań. Natomiast niewiadomo dlaczego ma być podtrzymywana z gruntu fałszywa legenda o rzekomym patriotyźmie jako miał ożywiać całą PPS od chwili jej powstania aż do dnia dzisiejszego, jak to się czasami starano twierdzić.

Istnieją ruchy polityczne w których stosunek do interesów narodu jest ich nieodzowną częścią składową, elementem bez którego dany kierunek lub partia są nie do pomyślenia. Socjalizm jednak do nich stanowczo nie należy. Nie przeszkadza to oczywiście temu, iż liczni socjaliści mogą być i są dobrymi obywatelami i dobrymi Polakami. Nieporozumieniem byłoby jednak sądzić, iż są nimi właśnie dlatego że socjalizm wpoił im, tak głęboką miłość ojczyzny — jak to niekiedy próbowano przedstawiać na różnych akademiach.

Książka Mackiewicza jest pod tym względem prawdziwą rewelacją i może przyczynić się do zrewidowania wielu szeroko dość zakorzenionych poglądów na ten temat.

Czy daje ona istotnie "*Klucz do Pilsudskiego*" — to jest inna sprawa i trudno byłoby twierdzić, iż temat ten został wyczerpany, choć teza 1863 roku jest niewątpliwie interesująca. Być może wydaje się ona nią tym bardziej, gdy erudycja i ciekawe źródła wspierają siłą swej wymowy talent jednego z najświetniejszych publicystów polskich naszego pokolenia, pisarza łączącego oryginalność myśli z błyskotliwością stylu. Czytając Mackiewicza nie wie się doprawdy nigdy czy przemawiają rzeczywiście jego argumenty, czy też bierze górę sztuka wielkiego dialektyka. Język dokumentów i autentycznych faktów posiada jednak swoją nieodpartą wymowę — i w tym leży znaczenie "*Klucza do Pilsudskiego*".

Ciekawe będzie, jakie argumenty przeciwstawią tezom Mackiewicza znawcy omawianej epoki, w szczególności z pośród socjalistów.

A. U.

[1]) Stanisław Mackiewicz "*Klucz do Pilsudskiego*", 10/6, nakładem autora, 42 Eton Place, Chalk Farm, London, N.W.3.

Notatki bibliograficzne

POLSKIE WYDAWNICTWA RELIGIJNE W W. BRYTANII.

Dla podtrzymania i podniesienia poziomu duchowego używa człowiek religijny odpowiedniej książki, z której czerpie zasady myślenia, oceny i życia. Jest to już potrzebą w życiu zwykłym, w warunkach zaś niezwykłych, a takimi są obecne, staje się koniecznością zdwojoną, ze względu na obfitość nowych problemów, na oddalenie od normalnego życia parafialnego, na wielość przeżyć, domagających się naświetlenia i uporządkowania według norm wieczystych i zdrowych. Konieczność tą zwiększa fakt, że, jako katolicy, żyć musimy wśród społeczeństw częstokroć, obcych wyznaniem czy nawet religią.

Książką, której naród nasz zawdzięcza najwięcej, jest Pismo Święte. Tę więc wydano najwcześniej. Nie zdołano prawdzie wydać całego Pisma Świętego ze względu na koszta i papier, ale wydano Księgi Nowego Testamentu, jako dla życia katolickiego najistotniejsze. Nowy Testament w wydaniu londyńskim zawiera: cztery Ewangelie, Dzieje, Apostolskie, Listy Apostołów i Apokalipsę, czyli Księgę Objawień świetego Jana, więc całość. Wydanie zaopatrzone jest w krytyczny wstęp historyczny i objaśnienia tekstu, ułatwiające jego rozumienie.

Wnet po wydaniu Nowego Testamentu okazała się potrzeba wydania innej książki, dotyczącej życia wewnętrznego, bardzo w Polsce popularnej, t. j. Tomasza a Kempis "O naśladowaniu Chrystusa", o której pisano już w "Myśli Polskiej". Jest to, jak wiadomo, książka, która była dla Mickiewicza natchnieniem, w której rozczytywał się Matejko i wielu najwybitniejszych Polaków zwłaszcza wieku XIX, w okresie leczenia się z pesymizmu, spowodowanego klęskami narodowymi.

Wkrótce po wydaniu powyższych książek wyraziło wielu Polaków pragnienie, żeby im udostępnić dobry modlitewnik polski, najlepiej w formie mszalika. Po dłuższych dyskusjach opracowany i wydany został Mszał Rzymski, pomyślany jako mszalik i modlitewnik. Zawiera on, oprócz formularzy mszalnych na niedziele i święta, także i Dodatek, w którym mieszczą się ważniejsze modlitwy, litanie i pieśni. Dodano również szereg modlitw dla kobiet.

Ponieważ klęski powszechne spowodowały u wielu żywsze zainteresowanie się odrodzeniem społecznym Polski, dokonano wydania dwu podstawowych dokumentów nauki Kościoła o odrodzeniu ustroju społecznego, t.j. Encyklik: Leona XIII "Rerum novarum" i Piusa XI "Quadragesimo anno". Wydano je razem pod wspólnym tytułem "Chrześijański Ustrój Społeczny" i całość zaopatrzono w obszerny wstęp i komentarze. Grona dyskutujące problemy przyszłego ustroju społecznego Polski znalazły w tej książce podstawowe zasady myślenia i planowania, wypływające ze zdrowego rozumu, oparte na prawie natury i na nauce Chrystusa.

Z uwagi na to, że przy rozważaniu problemu ustroju społecznego, napotyka się w pierwszym rzędzie na problem państwa, jako instrumentu społecznego życia narodu, wydano List Pasterski Prymasa Polski p. tyt. "O chrześcijańskie zasady życia państwowego". Dokument ten zawiera istotne wskazania, jak należy patrzeć na zakres kompetencji państwa i na stosunek państwa do jednostki, do rodziny i do Kościoła.

Wybuch i przebieg wojny obecnej wskazał na poważne niedomagania ustroju międzynarodowego, który nie może rządzić się przypadkiem lub siłą, lecz musi się dostosować do praw moralnych, wskazanych przez Boga w prawie natury i Objawieniu. Zasadnicze pouczenia w tych sprawach podawane były w licznych Encyklikach papieskich, ale szczególnie w Encyklice obecnego Papieża "Summi Pontificatus". Po wydaniu tej Encykliki Pius XII rozwinął podaną w niej naukę i wyłożył ją w swych Allokucjach skierowanych do całego świata. Charakter podstawowy ma Allokucja wygłoszona w Wigilję B. Narodzenia 1941, wydana następnie również w polskim języku w "Tipografia Poliglotta Vaticana". Z egzemplarza dostarczonego do Londynu dokonano przedruku i dano mu tytuł: "Orędzie Radiowe J. Św. Piusa XII".

Ład międzynarodowy nie może powstać i trwać bez ładu w poszczególnych narodach i państwach. Temat: podstawowe zasady ładu wewnątrz państw został omówiony przez Piusa XII w Jego Allokucji z dn. 24 grudnia 1942. Dokument ten został również wydany w Londynie, p.t., "Podstawowe zasady ładu w państwach" przyczem dodano do niego streszczenie Encykliki Leona XIII skierowanej do "Biskupów Polaków" w r. 1894. Streszczenie zaopatrzone jest w obszerny wstęp historyczny, charakteryzujący stosunek Watykanu do Polski w drugiej połowie wieku XIX. W cyklu: "Wydawnictwo Dokumentów Nauki Kościoła" wydano również: broszurę zawierającą Zbiorowy List Pasterski Episkopatu Anglii i Walii z r. 1942 ("Katolicy a nowy ustrój świata" i "Deklarację Rady Społecznej przy Prymasie Polski w sprawie stanu gospodarczo-społecznego wsi polskiej") oraz Encyklikę Piusa XI "O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży" ("Divini illius Magistri"), a w druku znajduje się inny dokument tegoż Papieża: Encyklika o Małżeństwie Chrześcijańskim ("Casti connubii").

Oprócz tych wydawnictw, mających charakter dokumentarny, wydano szereg książek i broszur o sprawach katolickich. Więc X. W. Kalinki: "Męczeństwo świętego Stanisława i jego znaczenie dla Narodu" (Prelekcja na uroczystym posiedzeniu Akademii Umiejętności); B. Komiata: Limina Apostolorum (Pius XI o komuniźmie, nacjonaliźmie, etatyźmie; Pius XI o przyczynach wojny i celach pokoju; Kościół i Polska — odpowiedź p. Z. Nowakowskiemu); X Stanisława Bełcha: "Papiestwo i Polska" (niektóre fakty i dokumenty z historii Polski dawnej i bieżącej zaczepiane przez nieuczciwą publicystykę polską, zebrał i ocenił etc.); Arcyb. Teodorowicza: "O miłości Ojczyzny"; Arcyb. Teodorowicza "Myśl religijna w narodzie"; Biskupa O. Prohaszki: "Katolicyzm a czasy obecne", Kard. Hlonda "Problem religijny jutrzejszego świata".

W Szkocji zajmuje się wydawnictwami religijnymi O. I. Bochenski, O.P. Z wydanych przez niego broszur w serii "Nauka Chrystusowa", na uwagę zasługują: Skargi "Proroctwo", oraz dwa przekłady z Summy św. Tomasza z Akwinu "Odwet" i "Męstwo", zaopatrzone przez O. Bocheńskiego w dobry komentarz.

Z książek omawiających sprawy katolickiej nauki zasługuje na szczególną uwagę polskie wydanie A. C. F. Beales'a - "The Catholic Church and International Order" (tytuł wydania polskiego: "Ład Międzynarodowy według nauki katolickiej"). Książka ta ukaże się w dniach najbliższych i będzie pomocną do zrozumienia zasad życia międzynarodowego, jakoteż da oświetlenie przyczyn dzisiejszego zamieszania w stosunkach międzynarodowych.

Wobec tego pokaźnego dorobku zachodzi pytanie: skąd fundusze? Na potanienie Nowego Testamentu dał Fundusz Kultury Narodowej pewną sumę . . . . (tu muszę sprostować nieścisłość jaka wkradła się w artykuł, ogłoszony przez F.K.N. w "Dz. Polskim", w którym podano, że tenże Fundusz wydał Nowy Testament), reszta wydawana jest trybem normalnym, bez żadnej subwencji, licząc na to, że Polacy potrzebują pokarmu duchowego i że na książki religijne pieniędzy nie pożałują, jak nie żałowaliby ich na chleb dla ciała. Wielu również Katolików składa pewne ofiary na organizujący się "Katolicki Fundusz Wydawniczy" (adres: c/o F. Mildner, Herbal Hill, London, E.C.1). Tu też zaznaczyć trzeba, że wydawnictw tych nie dałoby się uskutecznić, gdyby nie wybitna pomoc Firmy F. Mildner and Sons, która, jako Firma katolicka i szczerze Polakom przychylna, nie ogląda się zbytnio na zyski i wydań dokonuje wierząc w Opatrzność Boską, która "provide bit". Rzeczą jest niewątpliwą, że cicha ta praca przynosi duży pożytek duszom a przez to i Polsce.

Wszystkie wyżej wymienione wydawnictwa nabyć można w firmie: F. Mildner and Sons, Herbal Hill, London, E.C.1, za nadesłaniem gotówki, oraz we wszystkich kioskach polskich.

X STANISŁAW BEŁCH

KSIĄŻKI I BROSZURY OTRZYMANE

OD REDAKCJI: Recenzje z nadsyłanych książek i innych wydawnictw ukazywać się będą stale w miarę miejsca w naszym czasopiśmie.

Ludwik Schweizer: **WOJNA BEZ LEGENDY,** nakładem autora, drukiem The Allen Lithographic Co., Ltd., Kirkcaldy, Fife, Scotland, wyd. w maju 1943. Praca poświęcona 26 Pułkowi Ułanów Wielkopolskich im. hetmana Karola Chodkiewicza (przygotowaniom przedwojennym i bojom Pułku w 1939 r.), str. 152, 10 szkiców i 2 mapki w tekście, 1 szkic i jedna mapa poza tekstem, cena 8/6. Zamówienia wraz z ceną kierować do drukarza, lub do autora: 4, Bruntsfield Terrace, Edinburgh.

Maria Kuncewiczowa: **KLUCZE,** (wedle pobieżnego przejrzenia można by książkę określić jako "szkice z wojny i emigracji") Londyn 1943, nakładem "Nowej Polski", 91, Great Titchfield Street, London, W.1, okładka Janiny Konarskiej, str. 217, cena 8/6.

Adam Kowalski: **KIERUNEK: WISŁA!,** Wiersze i pieśni 1939–1942. Układ chóralny Adama Harasowskiego, ilustracje i układ graficzny Antoniego Wasilewskiego, nakładem Księgarni Polskiej, 24 Hope Street, Glasgow, str. 60, cena 4/6.

Sir Archibald Hurd (tłumaczył Janusz Grodzicki): **WALKA O MORZA,** nakładem jak wyżej, na okładce fotografia Okrętu R.P. Orkan, str. 73, b. dużo fotografij w tekście, cena 8/6.

TALE OF A CITY broszura o Warszawie — oficjalne wydawnictwo **Office of War Information, Division of Public Inquiries, Washington, D.C.,** w żałobnej czarno-białej okładce, stronic 22 dużego i wyraźnego druku, 10 rycin Czermańskiego (zaznaczono w broszurze, że ilustrator był oficerem W.P. i naocznym świadkiem pierwszych miesięcy okupacji niemieckiej w Warszawie). Broszura w prostych słowach wyjaśnia Amerykanom jak wygląda okupacja miasta przez Niemców-nazistów.

Joseph Wojciechowski: **IMPERIALISM AND THE FATE OF POLAND,** dwujęzyczna (polsko-angielska) broszura 96 stronicowa, wydana w Chicago, ILL. U.S.A., drukiem COMPO-PRINTING SERVICE, omawia historię Polski aż do wydarzeń ostatnich i odtwarza poglądy środowiska t.zw. Polskiego Kościoła Narodowego, usiłującego pogodzić patriotyzm z postawą antykatolicką. Ten konflikt wewnętrzny nie pozwala autorowi zharmonizować argumentów w obronie sprawy polskiej, choć dobrej woli i patriotyzmu polskiego autorowi odmówić nie można.

Thilaletes (pseudonim): **POLITICS IN THE PUB,** published by the Author (302, Regent Street, Room 4, London, W.1.), London 1943, stronic 48, cena 8d. Dobra broszura popularna o sprawach i zagadnieniach polskich, ujęta we formę dyskusji w barze między Brytyjczykami, z których jeden wytacza ustawicznie argumenty antypolskie, drugi zaś je cyframi i faktami odpiera.

SPRAWOZDANIE KUSTOSZA Archiwum i Muzeum Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego — za rok 1942. Chicago, Illinois, styczeń 1943. Str. 16.

Abraham G. Duker: **POLITICAL AND CULTURAL ASPECTS OF JEWISH POST-WAR PROBLEMS,** edited by The American Jewish Committee, 386 Fourth Avenue, New York, N.Y.—1943. Str. 16.

CHRZEŚCIJANSKA SPOŁECZNOŚC NARODÓW (Punkty i tezy wypowiedzeń Papieża Piusa XII o pokoju i organizacji społeczeństw), nakładem Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, 2 Devonia Road, N.1, drukiem F. Mildner & Sons, Herbal Hill, London, E.C.1, str. 31, cena 9d.

Zofia Kossak: **CHRZEŚCIJAŃSKIE POSŁANNICTWO POLSKI,** nakładem i drukiem jak wyżej, str. 14, cena 4d.

POLSKI ZJAZD KATOLICKI

Komunikat nr. 3.

Pod protektoratem J. E. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza i J. E. Delegata Apostolskiego Ks. Arcybiskupa Williama Godfreya odbędzie się w Londynie w dniach 28 i 29 czerwca br. Polski Zjazd Katolicki.

Celem Zjazdu jest przedyskutowanie na pięciu Komisjach problemów dotyczących jednostki, rodziny, kwestji społecznej, państwa i ładu międzynarodowego.

Komitet Organizacyjny prosi wszystkich zainteresowanych, którzy dotąd jeszcze nie zgłosili się, o podanie nazwiska i imienia oraz adresu pod następującym adresem:

Komitet Organizacyjny Polskiego Zjazdu Katolickiego,
27, Grosvenor Street, London, W.1.

Za
Komitet
(—) Ks. Zygmunt Kaczyński
przewodniczący,
(—) Aleksander Sierz
sektetarz.

Listy do Redakcji

DOCHÓD NARODOWY

w Niemczech i w Polsce

Szanowny Panie Redaktorze,

W Nr. 46 "Myśli Polskiej" w artykule pt. "Próba" zawarte było twierdzenie, że dochód narodowy na głowę ludności był w Niemczech 30 razy wyższy niż w Polsce. Pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownej Redakcji, że musiała tu zajść oczywista pomyłka, gdyż stosunek ten przedstawiał się w rzeczywistości znacznie dla Polski korzystniej, choć trudno przytoczyć dane bezwzględnie ścisłe.

Cyfry dochodu narodowego nie opierają się — jak wiadomo — na statystyce, lecz na skomplikowanych obliczeniach, przy czym metody są bardzo niejednolite. Porównywanie wyników obliczeń dla dwóch różnych krajów jest poza tym prawie zawsze nieścisłe, gdyż oficjalny kurs walut nie odpowiada często ich rzeczywistej sile kupna.

Z tymi zastrzeżeniami można zacytować, że C. Clark w swym dziele pt. "The Conditions of Economic Progress" szacuje przeciętny dochód narodowy na głowę ludności w latach 1923–34 w Polsce na 352 jednostki międzynarodowe, w Niemczech zaś na 646. Z drugiej strony wiadomo, że w ostatnich latach przed wojną obliczano w Polsce dochód narodowy na 16 do 18 miliardów złotych, czyli około 500 złotych na głowę, w Niemczech zaś w roku 1937 na 7 miliardów Rmk, czyli ponad 1000 Rmk na głowę; biorąc za podstawę oficjalny kurs obu walut, odpowiada to z grubsza stosunkowi 1 : 4 na korzyść Niemiec. Ponieważ jednak marka niemiecka była notorycznie walutą przeszacowaną, nie będziemy dalecy od prawdy, gdy powiemy, że dochód narodowy na głowę ludności w Niemczech był mniej więcej 3 razy wyższy niż w Polsce.

Powyższe rozważania w niczym zresztą nie podważają zasadniczej tezy wzmiankowanego artykułu, że stosunek potencjałów absolutnych i względnych obu państw był taki, że Polska pozostawiona wyłącznie własnym siłom — mimo najwyższego bohaterstwa wojska i poświęcenia narodu — wojny przeciw Niemcom przez dłuższy czas prowadzić w ogóle nie mogła.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

W.Ł.

ODPOWIEDZI REDAKCJI: "Amator Prawdy" — Dziękujemy za wskazówkę, z której skorzystamy przy sposobności. Wobec tego, że chodzi o książkę, którą możemy sami przeczytać, podpis istotnie był nie potrzebny i wszystko jest w porządku.

TREŚĆ Nr. 47 "Myśli Polskiej":

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.
Redakcja i Administracja:
92, Eamont Court, Regent's Park, London N.W.8 Telephone: PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/- lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów): 12/- lub $4.